◆ KORNEL FILIPOWICZ – „BAZYLI“ ◆ LU SÜN – „LEKARSTWO“ ◆

CZYTELNIK

ODRODZENIE

TYGODNIK

Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok VI | Warszawa, dnia 6 marca 1949 r. | Nr 10 (223)

EUGENIA KRASSOWSKA

PERSPEKTYWY NAUKI POLSKIEJ

Mówiąc o sytuacji ideologicznej naszej nauki, tu i ówdzie z konieczności zahaczałam o przyczyny tej sytuacji*).

Wypadnie teraz zebrać te uwagi i spróbować dać odpowiedzi na trzecie pytanie, dotyczące całokształtu przyczyn charakteryzowanej sytuacji.

1. Procesy ideologiczne z natury swej przebiegają wolniej i w sposób bardziej skomplikowany, niż procesy społeczno - gospodarcze.

2. W okresie międzywojennym hamowała procesy światopoglądowe na wyższych uczelniach niewola ideologiczna inteligencji podporządkowanej sanacyjno - faszystowskiemu reżymowi. Dlatego też stosunkowo łatwo przyjmowały się u nas wsteczne ideologie, między innymi, nacjonalizm, antysemityzm, ciążące także nad twórczością naukową.

3. Ostatnia wojna obniżyła jeszcze bardziej przeciętny poziom ideologiczny i zahamowała niemal całkowicie postęp nauki polskiej szczególnie w dziedzinie nauk doświadczalnych. Te międzywojenne i wojenne obciążenia stały się poważną przeszkodą w kształtowaniu postępowej nauki, choć z całym naciskiem podkreślić trzeba, że mamy w naszym dorobku dzieła, **będące wyrazem szczytowych osiągnięć postępowej myśli naukowej.**

W okresie demokracji ludowej popełniliśmy szereg błędów i niedociągnięć, które opóźniły postęp nauki.

1. Nie umieliśmy prowadzić konsekwentnej polityki personalnej. Często brakowało naszym posunięciom personalnym szybkości decyzji i odwagi w wysuwaniu nowych ludzi na ważne naukowe pozycje.

2. Niedostatecznie szeroko korzystaliśmy z uprawnień Rady Głównej umożliwiających badanie wewnętrznej pracy wyższych uczelni.

3. Nie umieliśmy stawiać konkretnych postulatów pod adresem świata naukowego, nie wypracowaliśmy koncepcji organizacji nauki opartej na realnie istniejących warunkach i odpowiadającej naszym potrzebom.

4. Zbyt liberalistycznie traktowaliśmy ścieranie się odmiennych światopoglądów w świecie naukowym, prowadzące do eklektyzmu, pseudonaukowych sformułowań (co np. dało tak opłakane rezultaty w ekonomii).

5. W stosunku do marksistowskiej dialektyki, jako metody naukowo-badawczej nie wyszliśmy poza teoretyczne postulowanie, nie zrobiliśmy nic lub prawie nic dla zapewnienia jej należytego miejsca w pracy wyższych uczelni.

6. Nie usiłowaliśmy demaskować słabości naukowej martwych, skostniałych autorytetów naukowych, ulegając zasadzie „świętości nie szargać“, toteż często tolerowaliśmy przestarzałe, błędne teorie naukowe i przestarzałe założenia metodologiczne (przykłady cytowałam). Niedostatecznie zaś popieraliśmy wysiłki zmierzające do rewizji tego stanu rzeczy.

7. Niedostatecznie wykorzystywaliśmy procesy konsolidacji postępowych sił narodu, osiągnięcia w dziedzinie odbudowy i produkcji dla kształtowania świadomości ideologicznej pracowników nauki.

Zmiany ideologiczne niewątpliwie zachodzące na wyższych uczelniach były częstokroć w znacznie większym stopniu wynikiem nacisku wielkiej fali narastającej świadomości mas ludowych, niż naszego celowego działania.

Naturalnym wynikiem scharakteryzowanej postawy była krótkodystansowa polityka wobec wszystkich konkretnych zagadnień, co w konsekwencji odbijało się szkodliwie na środowisku naukowym.

1. Przeważająca część pracowników idąca szczerze na współpracę, ale niedostatecznie wyrobiona ideologicznie na skutek warunków okresu międzywojennego, nie czując dostatecznej opieki, nie widząc jasno perspektyw, opóźniła się w swoim rozwoju.

2. Nasza niedostatecznie skrystalizowana postawa ośmielała przeciwników ideowych, sprzyjając nasileniu nienaukowych teorii i metod.

3. Chwiejna i niezdecydowana polityka wobec wyższych uczelni osłabiała aktywność naukową postępowych uczonych.

4. Niejednokrotnie pozostawialiśmy pod wpływem pseudo-naukowych teorii i metod dydaktycznych naszą młodzież.

5. Praca nad przebudową wyższych uczelni nie znalazła też w poprzednim okresie dostatecznego oparcia w stronnictwach politycznych obozu ludowo-demokratycznego. Zdarzało się, że stronnictwa polityczne tolerowały a nawet eksponowały na wyższych uczelniach ludzi o małym autorytecie naukowym i moralnym. Nie umieli oni zdobyć szacunku dla siebie i reprezentowanej przez siebie ideologii.

Jakie wnioski wynikają z tej sumarycznej, szkicowej oceny sytuacji na odcinku nauki i szkolnictwa wyższego?

Ogólnie stwierdzić trzeba, że mimo wielu braków, zaniedbań, opóźnień, pomimo nacisku przestarzałych teorii i ideologii odbywają się w polskiej nauce procesy, **które świadczą, że istnieją wyraźne perspektywy dla dokonania przełomu i w tej dziedzinie naszego narodowego życia.**

Aby widzieć wyraźniej możliwości przełamania istniejącego stanu rzeczy trzeba zwrócić uwagę na dwa jeszcze momenty: sytuację materialną nauki i problem kadr.

Nauka polska i szkolnictwo wyższe dotkliwie zniszczone przez hitlerowski najazd walczyły z poważnymi trudnościami i wciąż jeszcze mamy w tej dziedzinie dotkliwe braki. Podkreślić jednak trzeba, że sytuacja materialna nauki poprawia się systematycznie i wydatnie. Przypomnieć wystarczy, że w akcji podwyżki płac w roku ubiegłym na plan pierwszy wysunięto płace pracowników nauki. W roku bieżącym odnotować trzeba poważny wzrost, właściwie skok w budżecie na wyposażenie zakładów i pracowni uczelnianych. Podkreślam — nie zaspokaja to jeszcze potrzeb nauki, ale otwiera dalsze poważne perspektywy dla jej rozwoju.

Jakże żałośnie wygląda w świetle naszych osiągnięć i możliwości los nauki emigracyjnej, która jak sucha gałąź odpadła od pnia nauki polskiej i cierpi na starczy uwiąd, tej nauki, której tyle miejsca poświęcili wydawcy ostatniego tomu „Nauki Polskiej“.

W wywiadzie umieszczonym ostatnio w jednym z pism emigracyjnych Władysław Folkierski, marionetkowy minister emigracyjnej oświaty, przyznaje zupełnie otwarcie, że nauka polska w Wielkiej Brytanii nie ma żadnej przyszłości. „Położenie materialne nauki polskiej w Wielkiej Brytanii — stwierdził autorytatywnie pan prof. Folkierski w swoim wywiadzie — jest katastrofalne“.

Wreszcie sprawa kadr. Ze szczególną uwagą odnotowujemy głosy, które padały na ten temat z trybuny Kongresu Zjednoczeniowego, głosy nacechowane głęboką troską o twórczych pracowników nauki. Z naciskiem chcę podkreślić słuszność zdania, **że nie wolno uważać wszystkich starych naukowców za reakcjonistów**, że obok niedużej garstki zdecydowanych przeciwników — uporczywie trwających na pozycjach zacofania naukowego — mamy masę pracowników postępowych podatnych na wahania...

Jasno i zdecydowanie postawił to min. Skrzeszewski na jubileuszu PAU oświadczając, że **„nikt nie ma najmniejszego zamiaru odtrącać kogokolwiek od twórczości naukowej. Odwrotnie, w obliczu gigantycznych zadań, musimy dbać o uczonych starych i młodych jak o cenny skarb“.**

Można i trzeba coraz szerzej włączać szerokie rzesze bezpartyjnych, ofiarnych uczonych do twórczej przebudowy nauki i przebudowy naszego życia. Przyświecać nam w tej pracy będą piękne słowa Prezydenta Bieruta wypowiedziane na otwarcie jesiennej sesji sejmowej.

Zasadnicze nowe zadania

Stoi przed nami poważne zadanie stworzenia warunków dla dokonania przełomu na wyższych uczelniach i w nauce.

Chodzi: Po pierwsze — o stworzenie jak najkorzystniejszych warunków dla postępu nauki, dla ilościowego i jakościowego podniesienia produkcji naukowej, warunków umożliwiających współdziałanie nauki w kształtowaniu wszystkich dziedzin życia, w rozwiązywaniu określonych zadań wysuwanych przez ludowe państwo; **warunków do zdobycia przez naszą naukę należytego miejsca wśród przodujących nauk świata dla podniesienia jej autorytetu.**

Po drugie — o dalszą przebudowę organizacyjno - programową wyższych uczelni, o stworzenie w dziedzinie nauczania na wyższych uczelniach organizacji zdolnej do realizowania tych zadań, jakie stawia państwo w zakresie szybkiego kształcenia fachowych kadr, kadr wysoko kwalifikowanych, kadr o wysokim poziomie ideologicznym.

Drogi realizacji nowych zadań

Jakie drogi prowadzą do realizacji tych zasadniczych zadań tak niesłychanie doniosłych dla postępu nauki, dla dalszej przebudowy naszego ustroju, dla zakończenia planu trzyletniego i podjęcia wykonania planu sześcioletniego?

Wydaje się, że dojrzał w Polsce moment do podjęcia prac nad stworzeniem nowoczesnej organizacji nauki, organizacji opartej o zasady planowości pracy zespołowej. W warunkach zacofania naszej nauki jest to jedyna droga do nadrobienia wszystkich jej zaległości. Jesteśmy świadkami unowocześniania form organizacyjnych nauki we wszystkich krajach: w Ameryce, Anglii i Francji, a szczególnie w Związku Radzieckim, który stworzył u siebie najbardziej nowoczesny typ struktury organizacji nauki. Nie możemy pozostać w tyle. Skutecznie zdobywamy przodujące pozycje w życiu społecznym i gospodarczym. Chcemy i możemy zająć także te pozycje w nauce. Nie można przeoczyć faktu, że poszczególne ośrodki lokalne weszły samorzutnie na drogę zespołowej i planowej pracy naukowo - badawczej: tworzą się zespoły pokrewnych katedr (tzw. instytuty uczelniane we Wrocławiu, w Warszawie i Łodzi); niektóre placówki naukowe organizują badania naukowe w oparciu o konkretny plan wynikający z potrzeb gospodarki narodowej (fizyka w Warszawie i Krakowie, PIG, Rada Geologiczna, Towarzystwo Geograficzne wyniki zjazdu obróbkarzy metali, z organizowanego z inicjatywy Akademii Górniczej). **Wszystkie próby zespołowej i planowej organizacji pracy naukowo-badawczej dają doskonałe rezultaty, podnosząc znakomicie wyniki samej pracy.**

W przyszłym schemacie organizacji nauki w Polsce zarysowują się wyraźnie trzy zasadnicze ogniwa powiązane ze sobą w różnorodny jak najbardziej elastyczny sposób: 1) zespoły pokrewnych kadr w ramach jednego wydziału — międzywydziałowych, międzyuczelnianych, zależnie od konkretnej sytuacji lokalnej; 2) instytuty centralne dla danej dyscypliny naukowej; 3) najwyższy wreszcie szczebel w organizacji sieci instytucji naukowych winna stanowić centralna komórka, prowadząca, koordynująca badania naukowe i ustalająca ogólne wytyczne i planowania.

Dojrzewa więc sprawa powołania Polskiej Akademii Nauk opartej o nowoczesne zasady organizacji nauk.

Wydaje się, że w naszych warunkach, przy słabości instytucji zdolnych do prowadzenia pracy naukowo - badawczej, przy poważnym zacofaniu nauki wobec rzeczywistości społecznej najskuteczniejszą drogą prowadzącą do utworzenia Akademii Nauk będzie powołanie Komitetu do spraw organizacji nauki jako zalążka przyszłej akademii. Wydaje się też, że PAU zbliżona w dzisiejszej swej postaci do towarzystw ogólno - naukowych nie jest zdolna do podjęcia funkcji nowoczesnej Akademii Nauk.

Nie możemy jednak nic uronić z jej cennego naukowo dorobku, dobrych tradycji i doświadczeń naukowych. Ten dorobek i doświadczenia naukowców związane z PAU musimy wykorzystać jak najszerzej przy nowej organizacji nauki.

W schemacie organizacji nauki należy zapewnić również miejsce towarzystwom naukowym po uprzedniej ich reorganizacji, a także w zależności od faktycznej działalności i żywotności naukowej.

Dla skutecznego wreszcie funkcjorowania nowoczesnej organizacji nauki trzeba rozwiązać zaniedbane jak dotąd zagadnienie kształcenia kadr naukowych oraz sprawę planowej organizacji wydawnictw naukowych. Trzeba również wypracować jak najbardziej elastyczne, różnorodne formy organizowania opinii naukowej.

(Dokończenie na stronie drugiej)

*) Zob. „Czterolecie rozwoju nauki polskiej“ w poprzednim numerze „Odrodzenia“.

JANUSZ BOGUCKI

Dysputy nieborowskie

W dniach 12 i 13 lutego odbyła się w poradziwiłłowskim pałacu w Nieborowie, zorganizowana przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, konferencja na temat aktualnych zagadnień naszej plastyki. Muszę wyznać, że jakkolwiek zgodnie ze swym zawodem pracownika kulturalnego, odsiedziałem niemałą ilość różnego rodzaju zebrań i konferencji — dyskusja nieborowska wydaje mi się szczególnie nasycona treściowo i istotna dla posunięć praktycznych, które niewątpliwie powinny po niej nastąpić.

Nutę przewodnią znacznej części wypowiedzi stanowiła — rzecz jasna — troska o warsztat artystyczny.

Koloryści z pokolenia profesorskiego znaleźli się pod dość gęstym obstrzałem krytyki, szczególnie w odniesieniu do zagadnień szkolnictwa. Doceniając i podkreślając wielki wkład tej generacji do historii naszego malarstwa, znaczna część dyskutantów przeciwstawiała się koloryzmowi, jako dyscyplinie zbyt wąskiej i jednostronnej. Z tego punktu widzenia krytykowano również szkolenie narybku malarskiego w naszych wyższych uczelniach: wysoka nawet kultura koloru nie może dać pełnego przygotowania młodemu plastykowi do podjęcia stojących przed nim rozległych zadań, zwłaszcza zaś prac o założeniu monumentalnym, związanym z architekturą. Zresztą i obraz kameralny, jeżeli ma być nacechowany pełnym widzeniem realistycznym, wyjść musi poza kategorie czystego koloryzmu. Ataki idące w tym kierunku nie były zresztą skierowane bezpośrednio w samych twórców, lecz zmierzały ku stopniowemu zrównoważeniu ich wpływu na młodsze pokolenie, innymi, bardziej wszechstronnymi metodami kształcenia malarskiego. Ilościowo udział kolorystów w przebiegu dyskusji był stosunkowo nikły.

Najbardziej ruchliwa okazała się grupa plastyków „nowoczesnych“, którzy ujawnili się jako mocni w sformułowaniach teoretycznych. Wokół stołu, który obsiedli gromadnie, udało im się wznieść potężną fortyfikację dialektyczną, zza której miotali celne pociski we wszystkich rzeczywistych i przypuszczalnych przeciwników. Wydało mi się nawet, że nasilenie tej zaczepno-odpornej postawy było nieco nadmierne. Pomimo całego swego skomplikowania dorobek sztuki nowoczesnej stanowi dziś pozycję zbyt ważką i ugruntowaną rozległym wpływem na różne formy twórczości i wytwórczości — by mógł być lekkomyślnie przekreślany, lub odrzucany. Nawet spośród tych dyskutantów, którzy ostro atakowali pozycję „nowoczesnych“ nikt prawie nie podważał ani celowości ich wysiłku, ani perspektyw ich rozwoju. Moment dyskusyjny dotyczył głównie sprawy, jakie są widoki szerszego wniknięcia „nowoczesnych“ w praktyczny nurt współczesnego życia. Sami atakowani woleli na ogół pozostawać w sferze stwierdzeń teoretycznych, podkreślając, że ich genealogia jest szczelnie zbieżna z dziejami postępu społecznego i twierdząc, że w pierwszym rzędzie z ich warsztatu wyniknąć może nowa, wielka współczesna sztuka. Domagali się czasu i kredytu moralnego. Przebieg i podsumowanie kolejnych wypowiedzi wskazuje, że mimo wszystko, co można zarzucić eksperymentatorom, w pracy ich widoczne są pozytywne osiągnięcia, które udzielenie żądanego kredytu uzasadniają.



„Pejzaż“ Czesława Rzepińskiego, delegata na Kongres Intelektualistów

Zresztą deklaracja tych, którzy wypowiedzieli się jako realiści, jako obecnie już ten realizm praktykujący, była też złożona nieco na wyrost: wspomniana grupa artystów przygotowuje dopiero wystawę z prac ostatniego okresu, które odpowiadać mają postulowanej przez nich postawie artystycznej. Cennym wydaje mi się sam fakt świadomego dążenia do realizmu, chociaż dopiero dyskusja przed obrazem będzie mogła ustalić czy z realizmem mamy istotnie do czynienia, a jeśli tak, to jaki należy mu się przymiotnik. Nazwisk na razie nie wymienię, sądzę bowiem, że nazwisko malarza określa fakt artystyczny, gdy znajdujemy je nie pod deklaracją, lecz w narożniku płótna. Zwolennicy realizmu nie operują żadną gotową receptą na temat jak malować. Przyjmując wspólną postawę, zachowują daleko idące zróżnicowanie indywidualne w zakresie rozwiązań artystycznych i skłonności do wyboru określonych zadań. Jeśli bym miał sprecyzować różnicę ich postawy i postawy np. „nowoczesnych“, to widziałbym ją nie tyle w świadomie wyznawanym światopoglądzie, lub też rzemiośle artystycznym, ile w większej gotowości oddania tego rzemiosła na bezpośredni użytek nowego odbiorcy i współtwórcy kultury.

Sprawa owej *gotowości* stanowi niewątpliwie problem zasadniczy w rozwoju dzisiejszego artysty. Nie stworzy jej automatycznie ani deklaracja ideowa, ani intelektualna trafność w ocenie współczesnych przemian społecznych, jakkolwiek i jedno i drugie uznać trzeba za niezbędny współczynnik dojrzewania omawianego procesu. Nie wystarczy stwierdzić, że rozszerzył się krąg uczestników kultury i zadeklarować mu sympatię, wychylając się z okna swej pracowni. Rozszerzenie kręgu uczestników kultury nie jest bowiem tylko zjawiskiem arytmetycznym. Nowy uczestnik kultury, to nowy typ wrażliwości, nowe treści i nowy sposób ich przeżywania, nowe formy bytu zbiorowego i jednostkowego, nowe wynikające z nich potrzeby. Aby potrzebom tym sprostać, artysta musi wniknąć swą świadomością w problematykę społeczną, w konkretną treść życia nowego człowieka, musi się z nią zespolić emocjonalnie i osobiście. Tylko z tak pojętego braterstwa artysty i odbiorców może wyrosnąć szczera i prawdziwa sztuka społeczeństwa ludowego, oparta na wspólnocie doświadczeń ludzkich, wyobraźni, plastycznego widzenia. Ale do tego braterstwa trzeba wewnętrznie dorosnąć, trzeba właśnie — osiągnąć w sobie gotowość. Gotowość do twórczej rezygnacji z inteligenckiego wyspiarstwa, do odrzucenia pióropusza dumnych samotników, do osierocenia kółka przyjaznych kibiców-smakoszów, do chętnego podjęcia prac, które z początku wydadzą nam się może mniej atrakcyjne, ale które niewątpliwie i bezpośrednio wynikają z określonych ludzkich potrzeb. Nie jest to łatwe: Kochamy nasze doświadczenia, nasz bagaż eksperymentalny, nasze egzotyzmy i smutki, chociaż trzeba stwierdzić, że w wielu wypadkach odraczanie momentu gotowości wywodzi się nie tyle z przywiązania do istotnych walorów dorobku doświadczalnego i historycznego, co ze zwykłego „lęku przestrzeni“, który osadza twórcę w ciasnym kole mieszczańskiego obiegu wartości kulturalnych.

Nie znaczy to — rzecz jasna — by wolno było niedoceniać tych wszystkich trudności, które plastyka współczesnego czynią powściągliwym. Gotowość wtedy jest coś warta, jeśli artysta istotnie do niej dojrzał. Dlatego ceniąc pionierską postawę tych, którzy się pierwsi odważyli i wystawili swój warsztat twórczy na ryzyko porażki artystycznej — można przewidywać, że dopiero następny szereg, ucząc się na potknięciach i zdobyczach poprzedników zajmie atakowaną pozycję.

Trudnemu zagadnieniu dojrzewania do nowych zadań — poruszonemu tu przede wszystkim na użytek wewnętrzny plastyków — dały dyskusje nieborowskie wszechstronny wyraz, ujawniając pełne zrozumienie wszystkich zawiłości omawianego problemu.

Zarówno w wypowiedziach teoretycznych jak dotyczących praktycznego planowania, nie słychać było zgrzytu „postulatywnej piły“, lecz szczere dążenie, by ułatwić artyście twórcze wyjście

(Dokończenie na stronie drugiej)



Helena Krajewska — z cyklu: „W hucie Zygmunt“

Dysputy nieborowskie

(Dokończenie ze strony pierwszej)

z sytuacji, w której się znalazł. Wyrazem takiej postawy był zarówno głos min. Sokorskiego, jak i kilku historyków sztuki, biorących udział w konferencji. Zaproszenie ich na współradców w sprawach dotyczących współczesnego rozwoju plastyki uważam za szczególnie pomyślne posunięcie organizatorów omawianej imprezy. Podsycany megalomanią artystów i kolekcjonersko-archeologiczną postawą naukowców, dawny antagonizm między twórcami a teoretykami sztuki, wydaje mi się dzisiaj w znacznym stopniu przeżytkiem (dla ilustracji przypomnę taki oto okrzyk: „odstawić polonistów od cycka literatury" — autor: Antoni Słonimski).

Dziś, gdy najburzliwsze przejawy współczesności skłonni jesteśmy widzieć i rozumieć w kategoriach historycznych, gdy przewartościowując dorobek dziejów przydajemy mu aktualną żywotność, gdy dyskutujemy przy naszym warsztacie pracy z klasykami ubiegłych epok — artysta i nowoczesny historyk są sobie bliscy jak może nigdy dotąd. Obaj bowiem, każdy w kategoriach swej twórczości, podejmują wielką pracę, którą określiłbym jako przeładunek dziedzictwa kulturalnego na stacji węzłowej pomiędzy dwiema epokami. (Oczywiście nie na tym wyczerpuje się funkcja artysty). Obaj czynią to w inny sposób i w innym zakresie: jeden przez twórczą kontynuację kultury minionej, drugi przez przyswajanie tej kultury nowemu społeczeństwu i jego artystom, przez konfrontację doświadczeń historycznych z zadaniami naszego pokolenia. Świadomość sąsiedzkiej pokrewności tych zadań zdeterminowanych tak dla artysty, jak dla teoretyka służbą nowemu społeczeństwu, stwarza między nimi pełne zrozumienie. Udział historyków sztuki w rozmowach nieborowskich był tego niewątpliwym świadectwem. Przyczynił się też w niemałym stopniu do obiektywnego i trafnego oświetlenia dyskutowanych zjawisk, co nie zawsze można zaobserwować w „rodzinnych" rozmowach między plastykami.

Na szczególną uwagę zasługuje zapowiedziany skromnie jako „pierwszy głos w dyskusji" referat Juliusza Starzyńskiego, który był wyrazem rozległości horyzontów, trafności wiązania poszczególnych zjawisk, sumienności i powściągliwości naukowca. Wychodząc z genealogii malarstwa dawniejszego Starzyński wyprowadza określone wnioski, dotyczące zadatków i perspektyw rozwojowych nowoczesnego realizmu. Osadzenie omawianych zjawisk w określonej rzeczywistości społeczno-historycznej, sprecyzowanie związków, zachodzących między przemianami struktury gospodarczej, a rozwojem twórczości artystycznej — było bezsporną zasługą referatu.

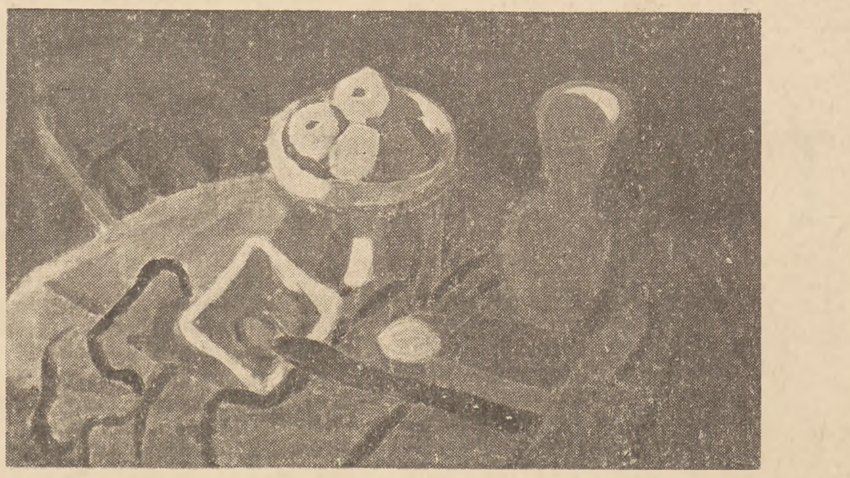
W poszukiwaniu tradycji realizmu w naszym malarstwie referent zwrócił uwagę na nazwiska Michałowskiego, Brodowskiego i Gierymskiego, z nowszych zaś malarzy na Makowskiego i Waliszewskiego; omawiając sytuację dzisiejszą wymienił trzy zasadnicze typy warsztatu malarskiego: kolorystyczny, związany głównie z tradycją „kapistów", tzw. „nowoczesny" i naturalistyczny, będący przedłużeniem malarstwa w typie przedwojennej warszawskiej „Zachęty". Zarówno dr Starzyński jak minister Sokorski wypowiadali się zdecydowanie przeciw kierunkom, reprezentowanym przez ten trzeci warsztat, którego galwanizacja groziłaby nawrotem malarstwa do naturalistycznego kiczu, jednocześnie jednak stwierdzając, że nowe malarstwo naszej epoki wyrośnie jako antyteza do zamkniętego historycznie okresu, reprezentowanego przez abstrakcjonizm. Realizm w sztuce współczesnej nie może powstać bez twórczego przewartościowania istotnych osiągnięć sztuki „nowoczesnej", nadając jej nowe oblicze ideowe, treściowe i artystyczne.

Na sprawę przekształcania się warsztatu i charakteru twórczości w przeszłości ciekawe światło rzuciły uwagi dr. Piwockiego, który przytoczył przykład przeobrażenia się malarstwa antycznego, w okresie formowania się młodej społeczności chrześcijańskiej.

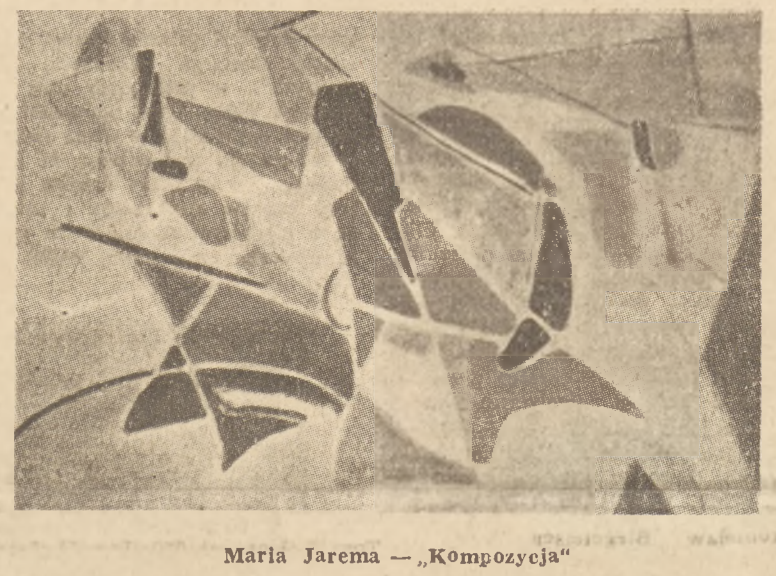
Wśród wszystkich dyskutantów z nazwiska wymienię jeszcze tylko Wandę Telakowską, co jest w pełni uzasadnione, bo malarzy mamy wielu, ale Telakowską tylko jedną. Otóż Telakowska w sposób najbardziej konkretny i programowy postawiła sprawę włączenia plastyków w plan prac, których wymaga odbudowa i rozwój państwa. Referując sprawę na odcinku współpracy artysty z przemysłem i handlem, stwierdziła niepokojący brak plastyków, chętnych do podjęcia roboty w tym zakresie (chodzi o obejmowanie stałych posad związanych z nadzorem estetycznym produkcji i handlu). Sprawę współdziałania z przemysłem i handlem można rozszerzyć na wiele innych dziedzin życia społecznego, wymagających udziału plastyka. Rzecz powinna być rozwiązana w trybie planowego porozumienia: państwo przekaże Związkowi Plastyków rodzaj programu zatrudnienia, wynikającego z konkretnych potrzeb dotyczących budownictwa, produkcji przemysłowej, produkcji wydawniczej, urządzania domów kultury i świetlic, organizacji wystaw itd., nawzajem plastycy przedłożą państwu rejestr tych praktycznych niedostatków, których likwidacja jest warunkiem technicznego usprawnienia ich warsztatu pracy (przede wszystkim trudności lokalowe i materiałowe, które każdy żywo dziś odczuwa). Głos Telakowskiej, który podaję tu „w wolnym przekładzie", nie był odosobniony. Przez dyskusję przewijał się temat planu 6-letniego i sprawa naszego w nim udziału. Mówiono o wiązaniu malarstwa i rzeźby z architekturą, o organizowaniu pracy zespołowej, o przystosowaniu szkolnictwa do nowego typu prac, stojących przed artystą. Mówiono rzeczowo i żarliwie o sprawach praktycznych.

Kończąc swoją relację, chciałbym to i owo podsumować. Problem gotowości, postulat realizmu, sprawa przystosowania warsztatu artystycznego dla służby nowemu społeczeństwu — to zagadnienia podstawowe, których nie rozwiążemy bez nakładu dobrej woli i cierpliwości, bez współdziałania czasu, bez wielostronnych doświadczeń i mądrej polityki kulturalnej. Ale wiemy, że rozwiązanie tego problemu jest i konieczne i możliwe, że jest jedyną drogą wyjścia sztuki z powikłań przejściowego okresu. Wiemy także, że rozumnymi zabiegami można przyśpieszać przebieg i jakkolwiek samo dojrzewanie jest procesem trudno uchwytnym, pełnym komplikacji, niespodziewanych skoków i wahań — wydaje mi się rzeczą niewątpliwą, że posiadamy już wystarczającą znajomość przedmiotu, by podjąć w kilku dziedzinach pracę nad wytworzeniem warunków, sprzyjających pomyślnemu rozwojowi nowej sztuki.

Ogólny plan tych prac zarysował się w toku konferencji nieborowskiej i to jest jednym z istotnych jej osiągnięć. Oto główne punkty tego planu: 1) jak najszerszy udział artystów w wykonywaniu określonych i przydatnych społecznie zadań, 2) rozległa i planowa akcja upowszechnienia sztuki, 3) uruchomienie ośrodka prac teoretycznych (projektowany Instytut Badania Sztuki), który zasięgiem badawczym objąłby zarówno zagadnienia twórczości jak i kultury plastycznej. Przegląd zadań, wykonanych przez artystów na bezpośredni i określony użytek społeczny, bilans prób realizmu w malarstwie sztalugowym, wyniki nasilającej się w rb. akcji wystaw objazdowych i innych działań, związanych z upowszechnieniem kultury plastycznej, wreszcie rezultaty zainicjowanych ostatnio prac badawczych i teoretycznych — to wszystko w krytycznym podsumowaniu będzie już mogło stanowić wyraźny punkt wyjścia, zarówno dla samej twórczości, jak i dla teoretycznej i praktycznej myśli programowej. Próby malarskie zasilą nową treścią dyskusję o realizmie. Powstający przy wykonywaniu konkretnych zamówień szeroki kontakt artysty i jego prac ze społeczeństwem, oraz wyniki działań „upowszechniających", rozszerzą i pogłębią zarówno współżycie z nowym odbiorcą kultury, jak i rzetelną znajomość jego potrzeb i możliwości.



Wacław Taranczewski — „Martwa natura"



Maria Jarema — „Kompozycja"

Dyskusja nasza — oby mniej rozproszona i urywkowa niż dotychczas — scalając wszystkie te współczynniki, będzie mogła pozycji społecznej i postawie twórczej artysty określić szerokie i realne podłoże rozwoju. Że zaś dyskusja nie jest dziś u nas próżnym gadaniem „opozycji J. K. M.", lecz zespołowym przygotowaniem planu roboczego przez artystów, teoretyków i urzędników od kultury — trzeba i można wierzyć w jej celowość i jej owocność.

Malarze mogli się przekonać podczas konferencji nieborowskiej, że ani teoretycy sztuki, ani przedstawiciele polityki kulturalnej nie usiłują im wmówić żadnych gotowych recept i automatycznych rozwiązań. Że w stopniu niemniejszym, a nieraz znacznie wszechstronniej niż wyznawcy poszczególnych kierunków malarskich, widzą oni zawikłania na drodze rozwojowej sztuk plastycznych. Toteż poświęciwszy znaczną część tych rozważań sprawie „przestawienia" warsztatu artystycznego i związanych z tym posunięć polityki kulturalnej — pragnę na zakończenie zaakcentować mocno, że rozważaniu tych tematów towarzyszyło w Nieborowie pełne zrozumienie praw artysty do swobody twórczej, do wyboru tematu i środków wyrazu, do rozwijania konstruktywnych osiągnięć sztuki eksperymentalnej. Dyskutanci, kładąc nacisk na wartość roboty zespołowej i związku malarstwa z architekturą, uznawali w zupełności równoległe znaczenie pracy „kameralnego" sztalugowca. Nawet w wypowiedziach krytykujących jednostronność „koloryzmu" doceniano całkowicie jego nieprzemijające znaczenie w rozwoju naszego malarstwa.

Wyjechałem stamtąd z głową nieco spuchniętą po dwóch dniach nieustających dysput, ale i z dużym ładunkiem ufności, który dają spotkania ludzi dobrej woli, zdolnych mocną wiarę w sens własnej pracy łączyć ze zrozumieniem wspólnego celu budowania.

Janusz Bogucki



Felicjan Kowarski — „Pstrowski"

JAN SMUTEK

STRACENIE

Nie mogę biec na pomoc
ni dziecku, co w gorączce chore
w sklepiony żeber pomost
jak dzięcioł puka w drzewa korę,

ni żonie, niezawodnej wdowie,
żałosnej Andromasze,
rozpaczy której nie wysłowię
i łzami nie ugaszę,

ni matce, co przez ścianę wzywa
ratunku nadaremnie —
bo brat mój do drzwi przywarł
i wyjście zamknął we mnie.

JERZY FICOWSKI

GAŁĄZKA JARZĘBINY

Jadła rogalik biały, chrupiący
jak śnieg.
Zęby — połyski mroźne,
w uśmiechu też białe, ale
ciepłe jak jaśmin.
Fałdy wzorzystej sukni
okrążyły ją wokół jak służki
i wiatrom, pokornym legawcom,
kazały kłaść się u stóp.
W blasku kolczyków u uszu
odbijał się afisz i brama.
Szli ludzie na jej kolczyku
maleńcy po paraboli
i duże były hałasy,
a kształty bardzo malutkie.
Rogalik chrupiący śniegiem
i oczy ciemne od chłodu,
samotność, wiatr i czekanie.
Aż zadźwięczały kolczyki,
dzwoneczki, iskierki dźwięków,
w świetle tej żółtej chusty
cieplej się stało spojrzeniom,
rogalik stajał, a oczy
smoły gorącej krople
i zęby ciepłe jak jaśmin.
Została tylko na bruku
wypadła z włosów, jarząca
jarzębiny gałązka,
żeby ją ktoś rozdeptał.

PERSPEKTYWY NAUKI POLSKIEJ

(Dokończenie ze strony pierwszej)

Skoro mowa o nowoczesnej, planowej organizacji nauki podkreślić trzeba raz jeszcze, że wolność nauki wbrew różnym fałszywym interpretacjom jest podstawowym warunkiem jej postępu w ramach planowej organizacji. Nie ma sprzeczności między dynamicznie pojętym, uzależnionym od ogólnego postępu pojęciem wolności nauki a jej planową organizacją, odpowiednikiem planowej gospodarki narodowej jako drogi do postępu społecznego. Odwrotnie, koordynowana działalność naukowa sprzyja pełniejszej realizacji postulatu wolności badań naukowych. **Z całym naciskiem podkreślić też trzeba, że organizacja i planowanie badań naukowych nie hamują indywidualnej inicjatywy uczonego, która może liczyć na pełne uznanie i poparcie.**

Ludowy Rząd gwarantuje nauce polskiej pełną swobodę rozwoju zgodnie z prawami rozwojowymi państwa, zarówno w dziedzinie praktycznych zastosowań jak też teoretycznych nawet abstrakcyjnych sformułowań.

Organizacja nauczania na wyższych uczelniach

Głębokim natomiast nieporozumieniem jest postawa części naszych uczonych, którzy wciąż jeszcze uważają za jeden z podstawowych warunków wolności nauki niezależność nauczania, która w ich ujęciu polega na zupełnej niezależności profesora od władz szkolnych w kierowaniu zakładem naukowym, prowadzeniu wykładów i ćwiczeń oraz egzaminowaniu. W konsekwencji oznacza to zupełną dowolność programów, niedostosowanie ich do najistotniejszych potrzeb życia, kształcenie inteligencji dalekiej od procesów produktywnych, oderwanej od tych treści, jakimi żyją masy ludowe. Wyższe uczelnie mają szybko i skutecznie kształcić wysoko wykwalifikowane kadry, na które czekają rozmaite gałęzie naszego narodowego życia. Absolwentom wyższych zakładów nie grozi dziś bezrobocie, bezpośrednio po ukończeniu studiów stają do pracy na ważnych odcinkach życia społecznego i gospodarczego często jako kierownicy.

Pod tym względem sytuacja inteligencji w Polsce Ludowej uległa radykalnej zmianie. Toteż studia uniwersyteckie w określonym zakresie oznaczają bezpośrednie przygotowanie do wykonywania bardzo ważnych funkcji we wszystkich dziedzinach państwowego życia. Spada więc na nie olbrzymia odpowiedzialność, tym bardziej, że państwo łoży na kształcenie młodzieży ogromne sumy.

Postulat dowolności nauczania staje się dziś głębokim nieporozumieniem. Dlatego też coraz bardziej przenika do świadomości uczonych konieczność zerwania z dowolnością, przypadkowością pracy dydaktycznej — przekonanie, że nauczanie na wyższych uczelniach zarówno pod względem metod jak i treści programowych wiązać należy ściśle z potrzebami i zadaniami państwa w określonym etapie historycznym.

Trzeba, aby były skuteczne i celowe

Dla realizacji nowych celów nauczania na wyższym poziomie trzeba dokonać ostatecznej, zasadniczej przebudowy programów opierając je na zasadzie dwustopniowości jako podstawie organizacji studiów w możliwie najszerszym zakresie, zależnie od potrzeb państwa na określonym odcinku życia. Konsekwencją tego będzie ujednolicenie programowe pierwszego stopnia szkół akademickich i programu szkół zawodowych.

Prace te w niektórych dziedzinach są już poważnie zaawansowane, obiektywnie jednak przyznać trzeba, że posuwają się zbyt wolno. Należy je zakończyć w zakresie wszystkich rodzajów studiów w najbliższym okresie. Rok akademicki 1949-50 winien przynieść całkowitą przebudowę programową wyższych uczelni. Jest to postulat zupełnie realny.

Realizacja wskazanych zasygnalizowanych tu raczej zadań wymaga olbrzymiego zbiorowego wysiłku. Wymaga konsekwentnego zdecydowanego działania. Ministerstwo Oświaty i Rada Główna wykonały poważne prace przygotowawcze dla realizacji tych zadań.

Wierzymy, że w dalszej ostatecznej ich realizacji wezmą udział wszyscy postępowi, wszyscy twórczy pracownicy nauki, wszyscy gorący patrioci, którzy chcą realizować jakże ambitne zadania: tworzyć warunki postępu nauki i postępu życia narodowego: wszyscy uczeni, którzy pragną, aby nauka służyła obronie pokoju i postępowi ludzkości.

Eugenia Krassowska

TADEUSZ KUBIAK

ODPOCZYNEK

Oto na krześle, które jest
pozornie tylko szczątkiem dębu,
lecz w nim spokoju tyle, że
może przystanią być gołębią —

oto na krześle, które jest
splamione farbą, siwym kurzem,
ale wytchnienia tyle da,
co ogród cały w ciepłych różach —

oto na krześle, które jest
chrome, jak ów potknięty osioł —
gdy ci odjęte znużeniem są
nogi — beznogi możesz osiąść —

któryś na ziemi, ojcze, jest
święć się spoczynek twój na krześle,
gwoździem zmęczenia przybita pierś
do drzewa — wskroś przez żywe mięśnie.

Oto na krześle, które jest
drzewem umarłym i zwierzęciem —
ciszą gołębią, spokojem róż,
twój odpoczynek, ojcze, święć się.

Tak odpoczywał pośród chmur
nad ziemią świeżą niby owoc
znużony — zmierzchem w krześle siądź
znużony — tworząc świat na nowo.

INTELEKTUALIŚCI W OBRONIE POKOJU

Jak wiadomo, w pierwszej połowie lutego obradowało w Paryżu Międzynarodowe Biuro Łączności, wyłoniony przez Kongres Wrocławski organ światowego ruchu intelektualistów w walce o pokój. 11 lutego w sali Mutualité odbyło się wielkie zgromadzenie puliczne, na którym przemawiali przedstawiciele „ruchu wrocławskiego" z różnych krajów. Niektóre z tych przemówień podajemy niniejszym czytelnikowi polskiemu.

CZESŁAW RZEPIŃSKI (Polska)

Do ludzi dobrej woli

Jako jeden z milionów polskich obywateli, zabieram głos z radością, by powiedzieć wam, co czynią i co myślą ludzie w Polsce.

Z całego życia polskiego jedna rzecz wydaje mi się najistotniejsza: fakt, że staramy się ulepszyć stosunki międzyludzkie i usunąć zarówno z rzeczywistości naszej jak i z umysłowości wszystko, co krzywdzi człowieka. Jesteśmy święcie przekonani, że aby stworzyć warunki materialne dla rozwoju umysłowego, wybraliśmy drogę najbardziej skuteczną. Otaczamy największym szacunkiem pracę ludzką i duchową twórczą postawę człowieka. Jesteśmy pewni, że jest to droga najbardziej naturalna, aby uzyskać w społeczeństwie miejsce należne osobowości. Wydaje mi się, że dzięki temu, Polska jest dziś — jak nigdy dotąd w dziejach naszych — pełna radości twórczej.

Ci z was, którzy brali udział w Kongresie Wrocławskim, mogli ujrzeć własnymi oczyma, jak kraj nasz walczy, by zaleczyć swoje rany, z jaką energią i z jaką wiarą w przyszłość buduje nowe domy, nowe fabryki, szkoły, muzea i laboratoria. Wy, którzyście odwiedzili Polskę, mogliście widzieć na drodze waszej pola pokryte zbożem, pola, gdzie niejeden rolnik zginął potrąciwszy swym pługiem o jakąś minę, posępny ślad ostatniej wojny. Dla was tedy, którzy widzieliście to własnymi oczyma, nie będzie niczym nowym, jeżeli powiem, że teraz w Polsce huczą coraz radośniej maszyny, że ilość ich wzrasta z dnia na dzień, służąc wielkiemu dziełu pokoju.

Wiecie również, że co roku miliony ton węgla, wydobyte dłońmi polskich górników, rozsiewają ciepło w naszych mieszkaniach i przyczyniają się do odbudowy całej Europy.

Jakaż może być lepsza ilustracja naszego życia narodowego, niźli budżet naszego państwa? Nie wydatki na zbrojenia, lecz kredyty, przeznaczone na szkolnictwo, na kulturę, na sztukę i na ubezpieczenia społeczne — oto najważniejsze pozycje budżetu. Nie będę mówił o naszych inwestycjach, które są bardzo wielkie. Jestem artystą, powiem wam tylko o udziale bardzo poważnym naszych artystów w całości naszej pracy pokojowej. Tej pracy, której pokojowe kontynuowanie jest zasadniczym warunkiem tworzenia i zachowania wielkich wartości tradycji artystycznych.

Jestem profesorem uniwersytetu krakowskiego, który zaledwie może pomieścić w murach studentów z roku na rok przybywających coraz liczniej.

Lecz, aby ten trud naszych ramion i mózgów nie był bezużyteczny, abyśmy nie musieli zaczynać na nowo od zera, abyśmy mogli osiągnąć poziom narodów, które miały szczęśliwszą, niż my historię, trzeba nam jednej rzeczy: pokoju.

Niezliczeni są na świecie — jesteśmy o tym głęboko przekonani — ludzie, którzy pragną pokoju. Wszyscy oni są naszymi braćmi, jakikolwiek byłby ich język, rasa czy przekonania. I wierzymy w siłę tego ogólnego dążenia do pokoju wbrew wszelkim barierom politycznym. Zwracamy się do was, ludzi dobrej woli, z prośbą, abyście podtrzymali swoimi głosami nasze wołanie o pokój.

Pamiętam, że Kongres Wrocławski zakończył się Marsylianką, odśpiewaną przez przedstawicieli 45 krajów. My, Polacy, nie zapominamy o tej wzruszającej chwili.

Jesteśmy przekonani, że jedyna trafna droga, która prowadzi do pokoju, to zrealizowanie tej dewizy, którą 150 lat temu naród francuski wypisał na swych sztandarach: wolność, równość i braterstwo. Nad jej urzeczywistnieniem pracują wspólnie nie tylko narody Związku Radzieckiego, nie tylko naród polski, ale wszyscy ludzie uczciwi z całego świata.

Wzywamy was wszystkich do wspólnej akcji, która zabezpieczy ludzkości to dobro najwyższe, jakim jest pokój.

Czesław Rzepiński

Ks. J. BOULIER (Francja)

Bóg nie chce wojny

Nikt — mówi się — nie pragnie wojny. „Wszyscy pragną szczęścia — mówi Pascal — nawet ci, którzy chcą się powiesić". Popychając ludy do nowej wojny, do wszechświatowego samobójstwa, rządy nasze wciąż jeszcze twierdzić będą, że pragną pokoju.



rys. Marek Rudnicki
Ks. J. Boulier

Kto pragnie wojny? Bestia ludzka, która pada w tę niedorzeczną pułapkę ze strachu, z tchórzostwa, z nieostrożności a także i z chciwości. Ci, których we Wrocławiu nazwaliśmy wstydliwie „ludźmi pieniądza".

Lecz dzisiaj nie możemy już poprzestać na tych uwagach ogólnych. Obrońcy pokoju powinni być jasnowidzący i walczący.

W 1949 r. napastników należy wymienić po nazwisku. Napastnikiem jest ten, kto robi zapasy bomb atomowych, kto nie chce podać ich ilości, kto zapowiada, że ma zamiar użyć ich i kto wciąż przybliża bazy, skąd wystartują atomowe bombowce. Bomba atomowa jest bronią zaczepną. Można ją ująć jedynie jako narzędzie międzynarodowej zbrodni. Ci, którzy użyliby jej na nowo, powinni stanąć przed trybunałem norymberskim. Lecz cóż myśleć o tych, którzy używają jej jako metody szantażu lub o tych, którzy wyrażają swą milczącą zgodę na ten szantaż?

Oni to pragną wojny i już teraz głoszą, że jest nieunikniona.

A kim są ci, którzy pragną pokoju? Ci, którzy chcą się rozmówić. Mówicie, że nie są szczerzy? Spróbujcie ich więc przyprzeć do muru. Ale i w tym celu trzeba porozmawiać.

To zatem, że się widzi jasno sytuację i że potrafi się wskazać napastnika — nie wystarczy. Trzeba przejść do czynu.

Brać udział w agresji — to być współwinowajcą międzynarodowej zbrodni, „masowego morderstwa", by zacytować słowa Piusa XII. Tego trzeba odmówić. Trzeba, aby każdy obywatel, godny imienia człowieka, złożył sam sobie „wielką przysięgę", o której mówił Alain: nie będziemy brali udziału w agresji przeciw Rosji, nie będziemy się bić z Rosją Radziecką.

A ponieważ usiłują nam przedstawić tę zbrodnię, jako wielką wyprawę krzyżową XX wieku w obronie cywilizacji chrześcijańskiej, musimy powiedzieć jeszcze wyraźniej: odmawiamy udziału w wyprawie krzyżowej, odmawiamy udziału w zbrodni przeciw ludzkości.

Wyprawy krzyżowe odbywały się niegdyś pod zawołaniem: „Bóg tak chce!" Nie sądzę, iżby Bóg chciał zbrodni, które krzyżowcy popełniali w Zarze, w Bizancjum i gdzie indziej. Ale pewien jestem, że dzisiaj Bóg nie chce wojny, że Bóg nie chce, aby bomby atomowe padały na Moskwę, że Bóg przeklina tych, którzy żywią myśl tak potworną.

„Ci, którzy wierzą w niebiosa i ci, którzy w nie nie wierzą" — by zacytować piękny poemat Aragona — wszyscy podejmujemy dziś tę samą decyzję. Powiedziałbym raczej, że ci, którzy wierzą w Boga i ci, którzy wierzą w człowieka, wszyscy oni wiedzą, iż Bóg nie chce wojny: Bóg chce rozsądku i Bóg chce pokoju. I gdy chodzi o odstraszenie bestyj o ludzkich obliczach, Bóg jest po naszej stronie, jeśli jesteśmy zdecydowani przerwać nasze milczenie i co więcej rzucić na szalę nasze życie.

Intelektualiści, godni tego imienia, nie powinni poprzestać na tym iż sformułują wyraźnie niebezpieczeństwo wojny i warunki pokoju. Parafrazując słynne powiedzenie: „Nie wystarczy pomyśleć świat, trzeba go przekształcić" można powiedzieć, iż nie wystarczy pomyśleć pokój, trzeba walczyć oń i — go wygrać.

Ks. J Boulier

ALEKSANDER FADIEJEW (ZSRR)

Poprzemy wszelką inicjatywę zmierzającą do obrony pokoju

Miliony ludzi były świadkami drugiej wojny światowej. W sercach ludów trwa jej przeraźliwe wspomnienie.

Ale pomimo tej przeraźliwej i tak jeszcze bliskiej lekcji historii, odkrycia wiedzy i techniki służą nadal nie dla dobra ludzkości, lecz dla zniszczenia cywilizacji oraz dla wymordowania nowych milionów dzieci, kobiet i starców.

W istocie w wielu krajach są ludzie, którzy otwarcie w prasie i w radio wzywają do załatwienia spraw międzynarodowych przy pomocy siły zbrojnej, uprawiają propagandę wyższości narodowej i rasowej. Armie i zbrojenia — zamiast zmniejszać się — rosną. Tworzą się bloki wojenne, które grożą spokojnemu współżyciu ludów i krajów. W różnych zakątkach świata tli się zarzewie wojny, podtrzymywane najczęściej przez obce kraje.



Aleksander Fadiejew

Wszystko to grozi już nie tylko niepodległości poszczególnych narodów, ale istnieniu cywilizacji samej. Nie ulega wątpliwości, że przeważająca większość ludzi na świecie pragnie pokoju. Ruch pokojowy ogarnia różne kraje w formie międzynarodowych ugrupowań, które obejmują przedstawicieli kultury i organizacji demokratycznych.

Są różne projekty zachowania pokoju. Lecz jedno nie ulega wątpliwości: wszyscy prawdziwi przyjaciele pokoju powinni się połączyć niezależnie od tego, jak się zapatrują na rozwiązanie problemu pokoju, niezależnie od swoich poglądów politycznych. Tylko złączony wysiłek wszystkich prawdziwych zwolenników pokoju może związać ręce jego przeciwnikom.

My, ludzie radzieccy, przeszliśmy tyle w ostatniej wojnie i wszystkie nasze wysiłki są do tego stopnia skierowane ku pracy spokojnej i konstruktywnej, że pokój jest naszym głębokim, żywotnym interesem.

Toteż z całej siły popieramy i będziemy popierać wszelką międzynarodową inicjatywę zmierzającą do zachowania pokoju w świecie.

Aleksander Fadiejew

ANIL DE SILVA (Indie)

Nasza walka będzie zwycięska

Ubiegłej wiosny klęska głodowa spadła na chłopów w północnym Malabarze. Feudalni właściciele ziemscy schowali ryż. Rząd, złożony z panów feudalnych, nie uczynił nic w celu zwolnienia ryżu i rozprowadzenia go wśród ludności.

W roku 1945 Pandit Nehru, mówiąc o wielkiej klęsce głodowej, kiedy to 4 miliony ludzi zmarły śmiercią głodową, oświadczył: „Dziwię się, że wszyscy oni umarli tak milcząco, przecież powinni byli wystąpić przeciw winowajcom tej klęski. Gdybym był o tym wiedział, nie byliby oni tacy milczący". Ale kiedy głodujący chłopi malabarscy nie chcąc umierać opanowali spichrze, Nehru był nieobecny a policja z wściekłością rzuciła się na chłopów. Dniem i nocą pustoszono wsie. Gwałcono kobiety. 70-letnią staruszkę zamęczono na śmierć, chcąc zmusić ją do zdradzenia, gdzie ukrywa się syn. Całe wsie spalono a ludność wypędzono do dżungli. Salwami karabinów maszynowych rozpędzano zgromadzenia chłopskie. Nie liczono pomordowanych, ale mnóstwo trupów gniło na wzgórzach — w jednej tylko prowincji Malabar.

12 kwietnia r. 1948 rozstrzelano dwóch chłopów w Koranie, 15 kwietnia — jedenastu w Tellirginie, 30 kwietnia — ośmiu w Ouchiyamie, 1 maja — pięciu w Czerpuzki, 15 maja aresztowano sześciu przywódców, 19 maja — aresztowano dwudziestu pięciu w Kottoyanie, 15 czerwca — dziesięciu w Lalapuran, 20 czerwca — dwudziestu dwóch w Czipakanie. Areszty i egzekucje nie miały końca. A kiedy pisarze malabarscy ośmielili się podnieść głos w obronie ludu, zmuszano ich za pomocą tortur do wychwalania bezeceństw policyjnych (donosił o tym pewien antykomunistyczny dziennik bombajski).

Malabarski pisarz i działacz polityczny Mojarath Szamkaran został aresztowany 13 maja w drodze do rodziny. 14 maja *umarł*, ciało czym prędzej spalono, nie zawiadamiając nawet rodziny.

Narajan Nambiar, aresztowany 9 maja w lesie Pajamskim, *umarł* tegoż dnia — ze zmiażdżoną klatką piersiową. 23-letnia panna Sarba Gupita, kompozytorka i sekretarka teatru ludowego w Delhi, pomimo choroby została aresztowana — matce odmówiono widzenia się z nią.

R. D. Baradwaj, krytyk, ciężko chory na gruźlicę, został aresztowany w domu w wysokiej gorączce.

Więzienia przepełnione są profesorami, nauczycielami, poetami. Karabinami maszynowymi rozpędza się wiece akademickie. Okrutny reżim więzienny powoduje ciągłe strajki głodowe.

Chłopi w Talergua (państwo Hajderabad) zajęli grunta pańskie i podzielili je między siebie. Ziemię tę nazywamy „małymi Chinami". Młody poeta Machdoon dowodzi jednym z oddziałów partyzanckich, które pobiły wojska nizama Hajderabadu a teraz walczą z armią hindustańską. Machdoon tłumaczy poematy Garcia Lorki i Nerudy, śpiewa je partyzantom chłopskim. W jednym z listów pisze: „Życie jest okrutne i wspaniałe. Poematy Lorki i Nerudy dodają nam odwagi".

Walka prowadzona przez naszych intelektualistów nie jest oderwana od walki ludu hinduskiego, bo walka naszego ludu o niepodległość jest częścią walki o demokrację i pokój, którą prowadzą narody całego świata. I tak jak walka ludu chińskiego, walka ludu hinduskiego będzie zwycięska.

Anil de Silva



fot. Chamudes

Ilia Erenburg i Jorge Amado na wrocławskim Kongresie Intelektualistów.

A'MÉ CÉSAIRE (Martynika)

Czego nie przewidział Renan...

W obliczu gigantycznego dramatu, którego przedwstępną krzątaninę — już przed podniesieniem kurtyny — słyszymy, każdy intelektualista zadaje sobie to samo trwożne pytanie: „Co począć? Co może począć inteligencja w obliczu nadchodzących wydarzeń?"

1

Nie ulegniemy naiwnemu idealizmowi i — parodiując słynną formułę Marksa — nie powiemy, iż bronią krytyki można unieszkodliwić czołgi lub unieruchomić aeroplany w locie: powiemy tylko, iż w sytuacji, gdzie mała grupka ludzi przygotowuje przy pomocy oszczerstw i przemilczeń zbrojny konflikt, intelektualista może zdziałać wiele pod warunkiem, iż będzie miał odwagę pozostać sobą i wykonywać swoją funkcję, która polega na tym, by rozumieć samemu i ułatwiać zrozumienie innym. **Zrozumieć — co? Ułatwić zrozumienie — czego?**

Ułatwić zrozumienie faktu, że przygotowywana wojna nie jest nieuniknioną koniecznością historyczną, ani tajemniczym przekleństwem losu, przed którym ludzkość nie może się uchylić, że przeciwnie —wojny tej, która od roku stanęła na naszym horyzoncie pragną i przygotowują ją w sposób zupełnie świadomy i w celach zupełnie konkretnych ludzie, których trzeba zdemaskować, że więc — to powinno dodać nam odwagi — możemy konfliktowi temu zapobiec, jeśli woli paru zbrodniarzy będziemy umieli przeciwstawić bardziej silną i zdecydowaną wolę naszą. **Zrozumieć, ułatwić zrozumienie jeszcze rzeczy następującej.**

Że oto w czterdziestym dziewiątym roku nie ma prawdziwej, całkowitej i skutecznej woli, by zapobiec wojnie tam, gdzie nie ma jasnej myśli która by wykryła jej mechanizm, że popieraniem wojennej hecy jest również przemilczanie imion tych, którzy jej pragną oraz zacieranie odpowiedzialności przez pewien nieokreślony ogólny i jednostronny antymilitarnym skierowany przeciw wojnie samej w sobie, nieokreślonej i nieumiejscowionej, która przeciwstawia na jakimś nierealnym terenie dwie części ludzkości, rzekomo równie godne potępienia i warte siebie nawzajem. **Trzeba zrozumieć, kto chce wojny, a kto pokoju.**

Oto sądzę pytanie zasadnicze, na które trzeba dać odpowiedź, jeśli chcemy mieć wpływ na bieg wydarzeń.

2

Lat blisko osiemdziesiąt temu pisarz, którego wpływu nie można nie doceniać, jest to bowiem główny myśliciel burżuazji — już wówczas zaniepokojony Ernest Renan w jednej ze swoich książek próbując scharakteryzować społeczeństwo ludzkie, odkrył w nim dwa — i tylko dwa — typy zasadnicze: jeden, który nazywał amerykańskim, drugi — pruskim.

Typ pruski był to dla Renana ustrój feudalny poprawiony i ulepszony, w każdym jednak razie społeczeństwo o strukturze konserwatywnej, w którym jednostka jest kształtowana i kierowana przez instytucje tradycyjne.

Typ amerykański natomiast, to społeczeństwo bez widocznych pęt, w którym jednostka rzucona w walkę o byt musi dać sobie radę, jak umie—dobrze lub źle, ze stratą lub z zyskiem — nie myśląc o jakimkolwiek buncie przeciw porządkowi, przez wszystkich uznawanemu za naturalny i niezmienny I Renan zadaje sobie trwożne pytanie, które jest pytaniem całej ówczesnej burżuazji z okresu po Komunie: czy trzeci typ społeczeństwa, typ socjalistyczny jest możliwy?



rys. Marek Rudnicki
Aimé Césaire

Nie jest to wiarygodne — odpowiada Renan, chcąc sobie dodać otuchy — gdyż nie pojawił się dotychczas żaden system socjalistyczny, który by miał realne perspektywy.

3

Otóż wielka różnica między wiekiem XIX, wiekiem Renana a naszym polega na tym, że dziś wątpliwość ta znikła, gdyż oto dwustumilionowy naród dowiódł światu, iż nie jest utopią wierzyć w możliwość i w żywotność państwa socjalistycznego, o którym marzą wszyscy ludzie kochający sprawiedliwość, że utopią jest natomiast wiara w możliwość nieskończonego wyzyskiwania ludów przez pewną klasę, coraz mniej liczną. I tego właśnie międzynarodowa burżuazja nie może wybaczyć Związkowi Radzieckiemu, iż uosobił on nadzieje ludzkie i że równocześnie przywrócił kapitalizmowi, który jest od tej chwili już tylko przeszkodą na drodze ludzkości, jego prawdziwe oblicze—**absurdalne i gorszące.**

To nam ułatwia zrozumienie przyczyn przygotowywanej wojny:

Dopóki komunizm był tylko — według słów Marksa — widmem, można było poprzestać na dyskusji filozoficznej, można było stosować przeciwko niemu egzorcyzmy magiczne, ale odkąd stał się siłą, która dzień w dzień, w pokojowej pracy, daje dowody swej skuteczności i swej przewagi, zamiast egzorcyzmów należy się uciec do broni.

Ale tu właśnie ludy mają swoje słowo do powiedzenia.

Jeżeli my, intelektualiści, zrozumiemy sami i dowiedziemy innym, że w chwili obecnej—podobnie jak we wszystkich epokach, faworyzowanych przez historię — pokój nie jest niczym innym, jak synonimem tego, o co ludy zawsze spontanicznie walczyły tj. wolności, sprawiedliwości społecznej, niepodległości narodowej i postępu w najszerszym tego słowa znaczeniu, nie ulega wątpliwości, że pod ciosami naszej krytyki, która stanie się siłą nieprzezwyciężoną, wojna zdemaskowana zniknie z horyzontu.

Aimé Césaire

RENATO GUTTUSO (Włochy)

Obowiązek intelektualistów

Walka o pokój nabrała — w świecie współczesnym — nowego charakteru. Nie chodzi tu już o pokój abstrakcyjny — normalne dążenie każdego człowieka, dążenie nieokreślone i zawsze gotowe do ustąpienia, ilekroć na horyzoncie pojawi się widmo wojny. Chodzi tu o świadomy wysiłek, aby zachować pokój. Chodzi o to, aby przezwyciężyć ideę wojny rzekomo koniecznej i nieuniknionej.

Wszyscy ludzie dobrej woli sprzymierzyli się w tej walce. Intelektualiści również zrozumieli rolę, jaką mogą tu odegrać, oraz siłę wiary, którą — dzięki wadze swej sztuki — mogą natchnąć ludzi. Rzucili w tę walkę cały swój prestiż, zdobyty w życiu niepodzielnie poświęconym pracy duchowej, poszukiwaniom naukowym, twórczości artystycznej. Na Kongresie Wrocławskim powstała nowa siła, która wzmocniła front pokoju. Front, który ma stać się przegrodą przeciwko prowokacjom wojennym, a może i barykadą, lecz barykadą, utworzoną przez miliony mężczyzn i kobiet, którzy pragną pokoju, ponieważ pokój jest dla nich kwestią życia, ponieważ wiedzą, że oni będą owym żywym materiałem, na który rzuci się potwór wojenny z całą swą niszczącą siłą.

Lecz intelektualiści walczą o pokój, nie tylko siłą swego prestiżu i swej osoby. Walczą także przy pomocy swych dzieł, każdy w swojej odrębnej dziedzinie. Walka o pokój związana jest dzisiaj z problemem odrodzenia kultury; intelektualista uczestniczy w walce o pokój już przez to, że z przekonaniem i z natchnieniem wykonuje swą misję.

Każdy artysta, każdy pisarz, każdy uczony, który bierze udział w tej walce, mówi wyraźnie „nie" prowokatorom wojennym: „Nie pójdę na wasze brudne kombinacje. Nie liczcie na to. Nie liczcie również na moją obojętność. Nie jestem już obojętny. Jestem ze wszystkich sił po stronie tych, którzy chcą pokoju i walczą oń".

Nie znaczy to zgoła, jakoby wystarczyły tu pacyfistyczne deklaracje. Znaczy to, przeciwnie, że nie jesteśmy już bierni wobec ludzkości, która również przestała być bierna, że czujemy się wciąż związani z walką i z nadzieją ludzi pragnących świata bardziej wolnego i bardziej sprawiedliwego. Znaczy to, że powinniśmy pracować i tworzyć w imię tej ostatecznej mety, że powinniśmy włożyć całą naszą siłę i odwagę w tę walkę i nie uciekać się do inteligenckiej pogardy dla rzeczywistości, nie pozostawiać człowieka swemu losowi, propagując samounicestwianie, pesymizm i bierność, które cechują dzieła wielu naszych kolegów.

Jesteśmy na skrzyżowaniu dwu dróg: jedna prowadzi do pokoju, do pracy, do kultury, do uświadomienia sobie swej istotnej i głębokiej funkcji, druga — droga obojętności, uchylania się i rzekomej czystości może nas zaprowadzić do wojny i do zniszczeń dzieł i wartości kulturalnych.

Renato Guttuso

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI przełożył FRANCISZEK PARECKI

OPOWIADANIE GISERA IWANA KOZYREWA O WPROWADZENIU SIĘ DO NOWEGO MIESZKANIA

Jestem proletariuszem.
Powiedziane jasno.
Mieszkałem,
jak matka raczyła powić.
I oto
mieszkanie
daje mi na własność
robotniczy
blok
mieszkaniowy.
Ale — szeroko!
Ależ — wysoko!
Przewietrzone,
ze światłem,
z opałem.
Wszystko w porządku.
Ale bardziej niż pokój
mnie się
to
podobało:
to było
świecące jak biały księżyc,
wygodniejsze
niż ziemia obiecana,
to było —
ale co o tym ględzić.
to była
wanna.
Puść z kurka wodę —
zetnie cię chłodem.
Z drugiego
kapie,
nie strzymasz w łapie.
Masz czub rozgrzany —
pod zimną z nim...
W gorącą —
pot z por.
Na jednym
kurku
pisze: „Zim"
na drugim kurku —
„Gor".
Przyjdziesz zmachany,
żyć ci się nie chce.
Nie cieszysz się barszczem,
ni herbaty bulgotem.
A popluskasz jak mewa
I trupa rozłechce
od tych
pluskających łaskotek.
Jak gdybyś
w gości
szedł do socjalizmu:
z zadowolenia —
tchu braknie — ach!
Portki na hak,
na kołek bieliznę
mydło do ręki
i...
bach!
Człowiek się długo myje
w mydlinie,
a wody
ma pod dostatkiem.
Po prostu
Wołga
w pokoju płynie,
chociaż nie widać
ryb i parostatków.
Choć brud
na tobie
ma dziesięć lat stażu,
jakby kto z ciebie
korę zerwał,
prawie jak łyko
sadze złażą,
zmywają się ścierwa.
Gdyś w parze i warze
wyprażył się już,
tu —
pokręć kurki:
i spada
chłodniutki
deszczyk — tusz
z dziurkowanej,
blaszanej chmurki.
Toż sama rozkosz spada z tym tuszem!
I już się
żadnym
nie poddasz klęskom:
pogładzi włosy,
potrzepie uszy,
między łopatki
spływa
we wklęsłość.
Teraz się wytrzesz
po mokrym ciele
ręcznikiem
jak zwierzak kosmatym,
żebyś pięty miał suche —
na ziemi się ściele,
z uszanowaniem —
korkową matę.
Kiedyś się w lustrze
przyjrzał swej minie,
koszulę
czystą
nasadzaj!
Nasadzam i myślę:
— Słuszną ma linię
ta
nasza
Radziecka Władza.

Ze zbioru wierszy Majakowskiego, który niebawem ukaże się nakładem Spółdz. Wyd. „Książka i Wiedza".

JACEK WOŁOWSKI

GORĄCA KĄPIEL

Było słonecznie i cicho. Na stokach Kończystej Turni stały nieruchome smreki, a gałęzie ich uginały się pod ciężarem czap śniegu. Wielka polana zwana Miętusową Kirą, pokryta skrystalizowanym przez mróz w pionowo sterczące tafelki śniegiem, iskrzyła się i mieniła w promieniach słońca.

Droga była niebardzo przetarta i gdy się szło, iskrząca powierzchnia załamywała się z lekkim chrzęstem a nogi po kolana zapadały w miękki, mokry puch.

✣

Zobaczyłem go, gdy stał koło zawianych aż po dachy szałasów i przyglądał się zawikłanym tropom lisa, które wijąc się w zygzaki i skomplikowane pętle przecinały polanę i ginęły wśród chojaków zalegających lesiste zbocza na Kopkach.

W wysokich wyglansowanych butach, kurtce z żółtego sukna i baraniej czapie naciśniętej na uszy, z rękami założonymi do tyłu patrzył na owe tropy a od czasu do czasu zadzierał głowę i mrużąc pod słońce błękitne, głęboko osadzone oczy patrzył na dalekie wierzchołki Czerwonych Wierchów. Podnosiły się tam raz po raz tumany śnieżnego pyłu, co z tej zacisznej osłonecznionej doliny wyglądało jakby góry dymiły.

Gdy brnąc po śniegu, podszedłem zupełnie blisko, powiedziałem: „Dzień dobry".

Odwrócił się szybko, jakby złapany na gorącym uczynku, a potem szerokim gestem uchylił baranią czapę.

— Na wieki wieków — odrzekł nieco roztargnionym tonem, pokazując w uśmiechu duże żółte zęby.

Staliśmy obok siebie — jak to ludzie na wczasach — pełni wzajemnej wyrozumiałej życzliwości, lecz — żeśmy się mało znali — nie bardzo wiedzieliśmy o czym mówić.

✣

Właściwie to nie znaliśmy się wcale. Tyle, że od wczoraj mieszkaliśmy w jednym i tym samym domu wczasów. Zwróciłem na niego uwagę przy kolacji. Wraz z trzema czy czterema górnikami i jednym hutnikiem, wyróżniał się spośród reprezentujących świat pracy dwudziestu paru kierowników kopalń, paru wyższych urzędników Zjednoczenia Węglowego, kilku sekretarek i dwóch czy trzech gładkich w obejściu woźnych, wielkimi spracowanymi, pełnymi poczerniałych zadrapań, blizn i zadziorów rękami. Mówiono mi również, że jest małorolnym chłopem spod Jędrzejowa i członkiem Związku Samopomocy Chłopskiej, który właśnie do Zakopanego wysłał go na wczasy.

Był to niewątpliwie uczciwy, autentyczny nie fałszowany chłop. Jedyny chłop, który wraz ze mną w domu, gdzie mieszkałem, na wczasach przebywał.

✣

Więc staliśmy obok siebie, w ten słoneczny, cichy poranek na mieniącej się roziskrzonej polanie i nie bardzo wiedzieliśmy o czym gadać.

— Bardzo tu pięknie — rzekł po pewnej chwili mój towarzysz i wskazał ruchem głowy na kurzące wierzchołki gór.

— Pięknie! — zgodziłem się chętnie.

Powoli ruszyliśmy obok siebie, z rękami założonymi za siebie, ocierając się co chwila ramionami i ostrożnie wyciągając nogi z zaspy śnieżnej.

— Pan pierwszy raz w górach?

Kiwnął głową.

— Pierwszy raz — potwierdził, a w głosie jego brzmiała jakaś przekorna uciecha. — Pierwszy raz tu jestem, ale nic nie żałuję. Baba mówiła: nie jedź!... nie jedź!... Stary jesteś, po co ci to? No! Pojechałem. Ale mówię, panie, że nie żal mi pieniędzy, co wydałem na te wczasy.

— A dawno już tu pan jest?

Przystanął i jął na palcach rachować. Okazało się, że już sześć dni.

Znów ruszyliśmy przed siebie. Polana się skończyła. Weszliśmy w wąwóz i ogarnął nas chłód.

— Na Kasprowym pan był?

Potrząsnął głową.

— Nie byłem — mruknął nieco zakłopotanym tonem.

— Warto pojechać — stwierdziłem tonem pełnym entuzjazmu. Szczerze mówiąc, oczarował mnie ten chłop tak wrażliwy, jakem stwierdził, na piękno gór.

— Oto zdobycz demokracji — myślałem, ostrożnie wyciągając ze śniegu nogi w nieco za luźnych półbutach. — Któż dawniej pomyślałby, chłopu pokazać góry, pokazać piękno tatrzańskiego krajobrazu.

— Chce pan — rzekłem — pojedziemy na Kasprowy jutro w południe. Jeśli chodzi o bilet — dodałem śpiesznie chcąc rzecz ująć jak najdelikatniej — to właśnie dwa bilety... —

— W południe nie mogę — rzekł stanowczo — w południe biorę kąpiel.

Przeszkodą wydała mi się błaha.

— Przecież gorąca woda jest w domu wypoczynkowym przez cały dzień — rzekłem. — Pojedziemy na Kasprowy, a wieczorem pan się wykąpie.

— W południe biorę kąpiel — powtórzył uroczystym, nie znoszącym sprzeciwu tonem, podkreślając słowa namaszczonym pontyfikalnym gestem.

Uderzył mnie ten uroczysty ton, ów gest dłoni.

— Gorąca kąpiel jest bardzo przyjemna — mruknąłem zdawkowo. Głupio mi było tę pospolitą wyświechtaną prawdę stwierdzać w posępnym, pięknym przez tę posępność parowie, którym szliśmy.

Mój towarzysz nie przeżywał widocznie tych skrupułów. Idąc powoli ze wzrokiem wlepionym w dalekie osłonecznione, pokrywające się co chwila kurzawą śnieżnego pyłu szczyty, podchwycił moje słowa i cichym rozmarzonym głosem, dobierając słów, by rzecz opisać jak najplastyczniej, mówił o rozkoszach gorącej kąpieli.

Piękne jest Zakopane, piękne są góry i choćby ten spacer jest też przyjemny, mimo że śniegu dużo nawiało. Ale najprzyjemniejsze na tych wczasach jest to, że człowiek może sobie gorącej wody w każdej chwili napuścić i wyparzyć się choćby dwa albo trzy razy, a za każdym razem siedzieć, choć po godzinie.

— Bo śniegi to i na wsi są niezgorsze. Widoki? Prawda — piękne, ale ich do kuferka nie zapakujesz, zaś taka gorąca kąpiel, to i czystość, i zdrowie, i człowiekowi się razn ej na duszy robi. A na wsi o takiej kąpieli w wannie to i marzyć nie ma co. Raz albo dwa na rok można się jeszcze w balii wytoknąć, choć opału na to idzie, że strach. Inaczej to chyba w stawie się człek opłucze, gdy jest lato.

✣

Opowiadali mi później, ci co z moim towarzyszem mieszkali, że dziwne ten człowiek historie wyprawiał. Z samego rana, jak wszyscy się myli, on na spacery chodził. Gdy po śniadaniu ludzie na wycieczki się zbierali, on gorącej wody do wanny sobie napuszczał i kąpał się godzinami.

— Wysyłaj tu chłopa na wczasy — mówił woźny — mądrala. — Przewrót socjalny w Polsce nastąpił, ludziom pracy pobyt w górach udostępniono, a chłop w góry wyjeżdża po to, aby przez cały dzień w gorącej wodzie siedzieć.

✣

Jak mówił woźny, człowiek uświadomiony, człowiek z miasta, dla którego kąpiel nie była ani nowością, ani przeżyciem. Człowiek, dla którego przeżyciem był dopiero widok, jaki z Kasprowego Wierchu przed nim się roztaczał.

Przemiany społeczne, które zaszły w Polsce, pozwoliły mu między innymi wyjechać na urlop do Zakopanego, pojechać na Kasprowy i przeżywać to, co tam przeżył.

Z drugiej strony te same przemiany społeczne pozwoliły między innymi chłopu spod Jędrzejowa pojechać do Zakopanego, do pensjonatu, gdzie przez całą dobę była gorąca woda i gdzie mógł w całej pełni rozkoszować się zwyczajną dla kilku tylko milionów ludzi w Polsce przyjemnością kąpieli.

I kto wie, czy ta wanna z gorącą wodą, w której chłop godzinami przesiadywał, nie była dlań pierwszym głosem nowej polskiej rzeczywistości, który przez niewątpliwie istniejącą skorupę przesądów, nawyków, przyzwyczajeń przedarł mu się do duszy.

✣

P. S. Po powrocie z Zakopanego opowiadałem o owym chłopie. Sądziłem, iż zrobiłem odkrycie.

Ktoś zauważył: Dawno już Majakowski napisał wiersz na podobny temat.

— Intuicja? — zdziwiłem się.

— Nie odrzekł ktoś. — Po prostu ludzie konsumują zdobycze socjalne zawsze w tej samej kolejności.

Jacek Wołowski

LU SÜN

LEKAR

I

Głęboka jesienna noc. Księżyc już zaszedł, a jeszcze nie świta. Pora, kiedy śpią wszyscy ci, którzy nie muszą wędrować po nocy. Hua Laoszuan usiadł nagle na łóżku, potarł zapałkę i zapalił lepką od tłuszczu lampkę olejną. Mdłe, zielonkawe światło rozjaśniło dwie izby herbaciarni.

— Czy idziesz już, ojcze Sjaoszuana? — zapytał głos starej kobiety. Jednocześnie z małej izdebki w głębi dał się słyszeć gwałtowny kaszel.

— Uhm — mruknął Laoszuan, odpowiadając i nasłuchując zarazem. Zdążył w międzyczasie narzucić ubranie i wyciągnął rękę do kobiety.

— Daj.

Hua Tama sięgnęła pod poduszkę. Wydobyła stamtąd niedużą paczkę srebrnych dolarów i podała Laoszuanowi, który szybko wsunął ją do kieszeni, a następnie dwukrotnie dotknął z zewnątrz przez ubranie, upewniając się o jej istnieniu i bezpieczeństwie. Zapalił papierową latarnię, zdmuchnął lampkę olejną, i poszedł do izdebki, skąd dochodził szmer i ponowny kaszel. Gdy się uciszyło, Laoszuan powiedział półgłosem: „Sjaoszuan... nie musisz wstawać... Sklep? Twoja matka się tym zajmuje".

Słysząc, że chłopiec nie odpowiada, pomyślał, że znowu zasnął. Wyszedł z domu. Na dworze było zupełnie ciemno i pusto, i tylko pas drogi rysował się niewyraźnie w mroku. Latarnia oświetlała jego nogi, mijające się kolejno w marszu. Spotykał jakieś psy. Żaden z nich nawet nie zaszczekał. Na dworze było znacznie chłodniej niż w domu i Laoszuan poczuł się rześki, jak gdyby nagle odmłodniał o wiele lat i posiadł moc przywracania ludziom życia. Zaczął iść większymi krokami. Stopniowo niebo rozjaśniało się, a droga stawała lepiej widoczna.

Wzdrygnął się nagle, gdy niedaleko przed sobą ujrzał skrzyżowanie dróg. Cofnął się o kilka kroków, przystanął pod okapem jednego z domów, naprzeciw zamkniętego jeszcze sklepu. Po chwili poczuł, że drży.

— No co, stary?

— Ale krzepki, już na nogach...

Laoszuan drgnął ponownie i otworzył oczy. Mijało go kilku ludzi. Jeden z nich obejrzał się i popatrzył na niego. Laoszuan nie widział go dokładnie, ale przechodzień przypomniał mu wygłodniałego człowieka, którego oczy zabłysły na widok jedzenia. Laoszuan spojrzał na swą latarnię i stwierdził, że już zgasła. Pomacał kieszeń i wyczuł jej twardą zawartość. Podniósł głowę i rozejrzał się wokoło. Dostrzegł grupki dziwnych ludzi przesuwających się w pobliżu jak duchy. Przyjrzał się im uważnie i uznał, że jednak w ich wyglądzie nie ma nic niezwykłego.

Wkrótce potem zobaczył kilkunastu żołnierzy. Z daleka widać było białe kręgi, umieszczone z przodu i z tyłu na ich płaszczach, a gdy podeszli bliżej, mógł dostrzec ciemno - czerwone obramowania mundurów.

Usłyszał tupot wielu nóg i znów otworzył oczy. Drobne grupki ludzi połączyły się w jedną falę, która przy skrzyżowaniu dróg nagle zatrzymała się tworząc półkole.

Ze swojego miejsca Laoszuan widział tylko ich plecy. Wszyscy wyciągali szyje ku przodowi i wyglądali jak stado kaczek przytrzymywanych z tyłu jakąś niewidzialną ręką. Przez chwilę panowała cisza. Później zdawało mu się, że usłyszał jakiś słaby i nieokreślony dźwięk. Tłum drgnął i rozpierzchnął się z hałasem, w pośpiechu omal nie przewracając Laoszuana.

— Hej! Jedna ręka bierze pieniądze, druga ręka daje towar!—Człowiek ubrany cały na czarno zatrzymał się przed Laoszuanem, który pod spojrzeniem jego oczu błyszczących i ostrych jak dwa noże, jak gdyby zmalał o połowę. Człowiek ten jedną rękę wyciągnął ku niemu pustą, a drugą podawał mu okrągły przedmiot, pokryty świeżą czerwoną cieczą, która powoli kapała na ziemię.

Laoszuan pośpiesznie sięgnął po dolary i zamierzał je podać, ale nie mógł się odważyć na przyjęcie oferowanego mu przedmiotu. Stojący przed nim człowiek zawołał zniecierpliwiony „Czego się boisz? Dlaczego nie bierzesz?", a gdy Laoszuan jeszcze się wahał, wyrwał mu latarnię z ręki, zdarł papier osłaniający jej boki, zawinął weń trzymany w ręku przedmiot i wcisnął go Laoszuanowi w ręce. Jednocześnie pochwycił paczkę z pieniędzmi, dotykiem ocenił jej zawartość, odwrócił się i odszedł mrucząc „Stary dureń..."

Laoszuanowi zdaje się, że ktoś go pyta: „Kogo się tym będzie leczyć?", ale nie odpowiada. Cała jego uwaga skupia się teraz na zawiniątku; czuje się tak, jak gdyby trzymał w rękach dziecko będące jedynym potomkiem bardzo starożytnego rodu. Nic innego nie ma w tej chwili znaczenia. Zamierza przenieść do swojego domu życiodajną siłę tkwiącą w zawiniątku, i spodziewa się, że będzie to źródłem wielu radości...

Słońce już wzeszło. Przed nim bieli się droga wiodąca prosto do jego domu. Za nim migoce słabo na wpół zatarty, niegdyś złoty, napis na tabliczce stojącej koło skrzyżowania dróg.

II

Gdy Laoszuan wrócił do domu, herbaciarnia była już sprzątnięta i każdy stół błyszczał czystością. Nikogo z gości jeszcze nie było i tylko Sjaoszuan jadł w kącie śniadanie. Pot spływał mu z czoła, ciepłe okrycie nie zasłaniało chudego ciała, a obie łopatki sterczały wysoko. Ujrzawszy ten widok Laoszuan nie mógł się powstrzymać od zmarszczenia brwi. Jego żona szybko wynurzyła się z kuchni z szeroko otwartymi oczami i lekko drgającymi wargami.

— Masz?

— Mam.

Oboje zniknęli w kuchni, gdzie się naradzali przez chwilę, po czym Hua Tama wyszła i wkrótce powróciła z suszonym liściem lotosu, który rozłożyła na stole. Laoszuan rozwinął papier, wyjął czerwoną zawartość i ponownie zawinął ją, tym razem w liść. Sjaoszuan kończył posiłek. Jego matka powiedziała zmieszana:

— Sjaoszuan, posiedź tam jeszcze trochę, nie przychodź tutaj.

Poprawiwszy ogień w paleniku kuchennym Laoszuan wziął zielone zawiniątko i razem z podartym, poplamionym na czerwono papierem od lampy wrzucił w ogień. Płomień buchnął gwałtownie, a po chwili dziwny zapach wypełnił herbaciarnię.

— Przyjemnie pachnie. Co za przysmaki zajadacie?

To T'opei U, człowiek, który każdy swój dzień spędza w herbaciarni, pierwszy przychodzi i ostatni odchodzi. I dziś jak zwykle, przeszedł niezdarnym krokiem między stołami do swojego stałego miejsca w kącie, i siadając zadał pytanie, na które nie otrzymał odpowiedzi.

— „Czy to może polewka z ryżu?"

— Znowu żadnej odpowiedzi. Tylko Laoszuan wynurzył się z kuchni, aby mu nalać herbaty.

— Sjaoszuan, chodź tutaj — zawołała Hua Tama z drugiej izby. Gdy wszedł i usiadł na przygotowanym dla niego stołku, matka podała mu talerz, na którym leżał okrągły, czarny przedmiot, i powiedziała cicho: „Zjedz to... Będziesz zdrowy".

Sjaoszuan wziął ów czarny przedmiot i patrzał na niego z niewypowiedzianym zdziwieniem, jak gdyby trzymał w rękach swoje życie. Rozłamał go bardzo ostrożnie. Spod spalonej skórki wypłynął obłoczek pary i rozwiał się szybko. Pozostała jasna pszenna bułka, przełamana na dwoje... Wkrótce po tym, mając przed sobą już tylko pusty talerz, nie pamiętał nawet jej smaku. Obok niego stali rodzice, z jednej strony ojciec, z drugiej strony matka, oboje z błyszczącymi oczami, sprawiający wrażenie, jak gdyby chcieli z jego ciała coś zabrać a coś innego doń wprowadzić. Nie mógł opanować gwałtownego bicia serca. Przycisnął ręce do piersi i zaniósł się kaszlem.

— Prześpij się trochę... Zaraz się będziesz lepiej czuł.

Spełniając polecenie swojej matki Sjaoszuan zasypia. Hua Tama czeka, aż jego oddech stanie się spokojny i równy i wtedy ostrożnie pokrywa go połataną kołdrą.

III

W herbaciarni było sporo ludzi i Laoszuan bardzo zajęty, z dzbankiem w ręce krążył między stołami, raz po raz nalewając herbatę któremuś z gości. Pod oczami miał ciemne linie.

— Laoszuan, czy coś ci dolega? Chory jesteś? — zapytał człowiek z siwiejącą brodą.

— Nie.

— Nieee? Myślę, że chyba nie, bo się uśmiechasz — człowiek z siwiejącą brodą zaprzeczył sam sobie.

— Laoszuan jest zawsze zapracowany. Gdyby jego syn... — T'opei U nie zdążył skończyć zdania, gdyż przerwało mu nagłe wejście człowieka o dużej, mięsistej twarzy, ubranego w czarną koszulę, rozpiętą na piersiach i niedbale ściągniętą na biodrach szerokim czarnym pasem. Zaledwie stanął w drzwiach, wykrzyknął do Laoszuana:

— No i co? Zjadł? Czuje się już dobrze? Masz szczęście, Laoszuan, naprawdę masz szczęście, gdybym się nie dowiedział w porę...

Laoszuan uśmiechnął się, stojąc z dzbankiem w jednej ręce, a drugą na znak szacunku opuściwszy wzdłuż uda. Inni obecni również przysłuchiwali się z szacunkiem. Hua Tama, z podkrążonymi jak u niego oczami, z uśmiechem podała nowoprzybyłemu kubek z liśćmi herbaty i odrobiną oliwy, a Laoszuan natychmiast nalał mu wrzątku.

— To jest najlepsze lekarstwo, nie da się porównać z żadnym innym! — wykrzyknął znowu człowiek o mięsistej twarzy. — Pomyślcie tylko, przyniesione i zjedzone jeszcze ciepłe!

— Naprawdę, gdyby nie K'ang Taszu, to jak byśmy mogli... — Hua Tama podziękowała mu wzruszona.

— To najlepszy środek. Najlepszy, zwłaszcza zjedzony na ciepło. Taka

KORNEL FILIPOWICZ

BAZYLI*)

Gdy pomyślę: Bazyli — przypominają mi się zaraz jego ręce, o krótkich, pełnych dłoniach i grubych, a mimo to obdarzonych niewiarygodną ruchliwością i samodzielnością, palcach. Nawet mały palec, ten najbardziej upośledzony i najsłabszy, miewał chwile, kiedy jego słabość bywała złowrogim synonimem siły: gdy wśród napiętej ciszy, na oczach partnerów, daremnie liczących na nieuwagę, wyprowadzał spośród rozłożonych kolorów „dziadka" jakąś głupią siódemkę czy ósemkę, tę jedyną kartę, od której zależała ich wygrana lub klęska!

Ale Bazyli rzadko kiedy grywał w brydża; chyba tylko wtedy, gdy chciał zrobić nam przyjemność. — „To jest gra dobra dla emerytowanych urzędników, takich, co to mają ustalone dochody i wydatki" — wyrażał się pogardliwie o brydżu. Bazylego pochłaniał inny żywioł: „poker", „chemin de fer" — zabawa, jak powiadał, godna mężczyzny! Prawie gra ze śmiercią! Jedni to robią na wojnie, inni na giełdzie — Bazyli przy zielonym stoliku. (Są tacy, co ośmielają się równać te rzeczy ze sportem, polowaniem — lub, co zabawniejsze, z miłością). Można bawić się śmiercią zwyciężając lub ginąc. Ale to w końcu udaje się tylko raz. A ileż to razy Bazyli wstaje od stolika jako zwycięzca, z kieszenią pełną, jak we śnie, pieniędzy, których się nie zarobiło, a których przecież można się czuć materialnym posiadaczem! Lub kiedy indziej znów, nazajutrz po podjęciu pensji, zostać się z jedynym złotym, akurat tym właśnie, który wypada rzucić wielkodusznie portierowi, wzamian za podanie okrycia i kapelusza i za ostatni ukłon, należny, niby „prezentuj broń" pokonanemu! Znalazłszy się o świcie na ulicy, móc zapytać się jeszcze swobodnie: „Panowie w którą stronę? — „No to do widzenia!" — i pójść przed siebie pustym trotuarem, mijany zaledwie przez zaspanych śmieciarzy z wózkami, będąc sto razy większym żebrakiem od niejednego nędzarza — oto jest unicestwienie większe od śmierci. Bo jest się niczym, nie przestawszy żyć. Trzeba zjeść śniadanie i obiad, zapłacić mieszkanie, posługaczkę i krawca. Krocząc przed siebie pustą ulicą nie myśli jednak o niczym, spostrzega co najwyżej jakiś szczegół, nowy szyld lub kiosk i obdarza go lekkim zdziwieniem. Gdyby zechciał zastanawiać się nad swoją stratą w sposób, w jaki zrobiłby, przegrawszy tyle pieniędzy, każdy z tych małodusznych mieszczuchów, śpiących teraz za zapuszczonymi żaluzjami — musiałby wściec się ze złości, śmiać się na cały głos, lub palnąć sobie natychmiast w łeb. Taka jest filozofia Bazylego.

Rozpocząłem od rąk Bazylego, gdyż one najlepiej wyobrażają mi jego naturę. W reszcie postaci Bazylego nie ma nic charakterystycznego, nawet ciekawego. Mogłaby należeć do każdego. Bazyli jest średniego wzrostu — choć wydaje się niski, z powodu lekkiej skłonności do tycia. Ale mając lat czterdzieści, Bazyli osiągnął już granice swojej tuszy i w ciągu tych kilku lat do wojny, które zbliżały go równocześnie do pięćdziesiątki, wydawało się nawet, jakby zwolna, prawie niedostrzegalnie, chudł. Bazyli, od kiedy go znałem, był zawsze lekko szpakowaty, ale siwizna nie posuwała się. Nie łysiał też ani trochę. Nie miał nawet „ministerialnych kątów" — choć był dyrektorem wydziału handlowego. — „Ma je za to mój woźny" — mawiał.

Jako urzędnik i to prywatnego przedsiębiorstwa, musiał Bazyli jednak okazywać wiele talentu i zażywać opinii człowieka niezbędnego. Od tej strony go nie znałem. Natomiast jego tak zwany „zdrowy rozsądek" w polityce (Bazyli nie lubił zmian, nie wierzył w przyszłość socjalizmu, nie życzył też sobie powrotu czegoś co minęło; jego filozofia życiowa była mądrością dnia dzisiejszego) — kazał przypuszczać, że w sprawach handlowych; w prawie wekslowym i czekowym, w obrotach i protestach, Bazyli jest człowiekiem realnym i równym.

Tę zwyczajną, na zewnątrz, naturę Bazylego, trawi natomiast od środka nieustająca namiętność do hazardu. Jest równie silna, o ile nie silniejsza od tej, która spala życie innych moich przyjaciół, pijaków, myśliwych i rybaków. Bazylemu nie brak partnerów, może nie tak odważnych i mocnych jak on, ale zawsze skorych do „partyjki". Większość z nich — to oficerowie miejscowego garnizonu. Dowództwo patrzy zdaje się przez palce na ich całonocne boje przy stolikach klubowych — zasnutych dymem tytoniowym, niby okopy chmurami wystrzałów — być może jako na coś, co w czasie pokoju podtrzymuje w nich cnoty żołnierskie: gotowość na ryzyko, fantazję, godzenie się z losem. Towarzyszy gry znajduje Bazyli także spośród innych bywalców kawiarni i klubu, między kolegami biurowymi; czasem wśród, najmniej zasługujących na posądzenie o tę namiętność, przykładnych ojców rodzin, zatwardziałych sknerów, ostrożnych kupców, tkniętych, w jakiś niespodziewany wieczór, atawistyczną potrzebą hazardu.

Co mnie łączy z Bazylim? Właściwie bliższa znajomość z nim datuje się dopiero od pewnego aktu solidarności z mojej strony, gdyż dotąd polegała zaledwie na towarzyskich stosunkach, do jakich zobowiązuje brydż. Ale pewnego wieczoru zaszło między nami coś bardzo zbliżającego, coś jednocześnie z rodzaju łączącego przestępców. Przynajmniej dzisiaj tak to odczuwam. Cały mój stosunek do Bazylego miał zresztą w sobie coś niegodnego. Może zazdrościłem mu odwagi, na którą nie potrafiłbym się zdobyć? Należę zdaje się do ludzi, których stać na pogardę śmierci, ale nie na ryzyko życia, choćby jeden dzień, w nędzy. Tacy ludzie wolą raczej przestać żyć niż przeżyć klęskę. A może to raczej tchórzostwo. Nie wiem; w każdym razie tego wieczoru, chociaż nie grałem, dowiodłem, że mógłbym grać. Więcej nawet: chociaż nie miałem kart w ręku, przecież w pewien sposób zagrałem i byłem przez chwilę partnerem.

Otóż tego wieczoru, jak często to robiłem, wszedłem do klubu z zamiarem przerzucenia gazet i wypicia kawy. Była jeszcze wczesna pora i ludzi było niewiele. Ale muza hazardu, chociaż czuła największe upodobanie do godzin nocnych, lubiła czasem nawiedzać stoliki pod oknem o najmniej spodziewanej porze. Przy jednym z nich zobaczyłem Bazylego. Siedział odwrócony do mnie plecami, w towarzystwie partnera. Przystanąłem i więcej poczułem niż zdałem sobie sprawę, że tam, pod zieloną, szarzejącą od dymu portierą, idzie wysoka gra. Było tak piekielnie cicho, że skądsiś dolatywały wyraźnie dźwięki gamy wygrywanej na fortepianie. Tylko od strony stolika, gdzie siedział Bazyli, padały pojedyncze, trzeźwe odezwania się, brzmiące oficjalnie i groźnie, niby krótkie zdania, jakie wymieniają między sobą członkowie trybunału, sądzącego jakąś straszliwą zbrodnię. Zbliżając się, usłyszałem nagle głos przeciwnika Bazylego, mocny, z powściąganą radością: „tysiąc pięćset!" Przechodząc, zajrzałem mu dyskretnie w karty. Miał „foula". Stanąłem za Bazylim. W tej samej chwili, ktoś z drugiego końca sali zawołał na mnie: „Hallo!" Podniosłem oczy i zawahałem się czy nie opuścić Bazylego, gdy usłyszałem jego głos. Odchrząknął i odezwał się swoim zwyczajem, niezbyt głośno, ale bardzo wyraźnie: „a tysiąc pięćset". Spojrzałem odruchowo i, jeśli tak można powiedzieć, struchlałem. Bazyli, nie miał nawet po kupnie — nic. Nie łatwo jest w takiej chwili opanować przerażenie. Ale w następnym ułamku sekundy uświadomiłem sobie, że w tym miejscu świat dzieli się na dwie strony, z których żadna nie wie i nie może dowiedzieć się niczego o drugiej. Przeciwnik Bazylego, urzędniczyna ze starostwa z obwisłą jak u starego konia twarzą, jeden z tych, którego bogini karciana wybrała tego dnia, aby go pozbawić nie tylko pensji ale i całych oszczędności — z ogromnego oddalenia, z obcego, wrogiego świata, patrzył na mnie przez długą, długą chwilę, strasznymi oczyma. Żebrał o jakiś znak, przynajmniej o tak drobny i neutralny, na jaki może sobie pozwolić najbardziej wzorowy kibic. Spuściłem oczy w karty Bazylego, czułem bowiem, że gdybym patrzył na tamtego dłużej, to musiałbym zdradzić się wreszcie czymś, nad czym nie mam sposobu panować: zdradziłbym się pozorami opanowania! Po dobrej chwili, w ciągu której myślałem Bóg wie o czym — usłyszałem stęknięcie człowieka zrezygnowanego i płaskie uderzenie kart o stół. Przeciwnik Bazylego poddał się. Wstał, podniósł okulary i wytarł oczy i czoło ociekające potem.

— Ach, pan tutaj — zdziwił się Bazyli odwracając się.

— Jakto, nie wiedział pan?

— Coś mi się zdawało — odpowiedział fałszywie.

„Hallo!"—wołano mnie z drugiego końca sali. Mój znajomy chciał mi pokazać jakiś interesujący artykuł w gazecie. Podniósłszy oczy znad stolika, do którego dosiadłem się, widziałem, że przeciwnik Bazylego wypisuje jakieś kwity czy weksle, a Bazyli macha lekceważąco ręką, potem jednak chowa papierki do kieszeni. (Bo Bazyli w sprawach pieniężnych jest człowiekiem realnym). Tamten wychodzi trzeźwym, prostym krokiem z lokalu — choć tam na zewnątrz czeka na niego otchłań bezsensu. Przegrał pensję i oszczędności. Ale nie tylko to. Mały urzędniczyna i drobny ciułacz, nie zapłaciwszy raz, traci kredyt u okolicznych sklepikarzy, sprowadza na dom zapomnianych dawno wierzycieli. Zamiast pogardzać Bazylim — jakże nienawidziłem tamtego, którego Bazyli ograł! Jakby człowiek, którego karta krzywdzi, wart był swojego losu! A może to była obrona przed współwiną moralną? Być może. Przecież gdybym był zechciał wpuścić na twarz jeden z tych zagadkowych półuśmieszków, jeszcze nic nie znaczących, ale dających już do myślenia, przed jakim nie powstrzymałby się żaden kibic na widok ohydnego bluffu, prawdopodobnie — a nawet na pewno — przegrałby Bazyli. Bazyli nie darmo powiedział kiedyś, odnosząc to do mojego zachowania się w klubie: — Byłbyś świetnym graczem.

— Mógłbym być, ale nie jestem — stwierdziłem obojętnie. — Bo nie masz odwagi — zażartował.

TA rozmowa przypomniała mi inną, prowadzoną już w parę lat później, w czasie okupacji. Spotkaliśmy się przypadkowo zupełnie, koło jednego z tych sklepów małego miasta na prowincji, przed którym furmanki czekają całymi godzinami, nie wiadomo na co, gdzie konie drzemią z łbami zanurzonymi w półkoszkach, gdzie można dostać wszystko: pół metra otrąb, pastę do zębów i flaszkę samogonu.

— Bazyli!

— Co ty tu robisz? — ucieszył się.

Weszliśmy do alkierza po drugiej stronie sklepu a Bazyli kazał podać ćwiartkę. Zacząłem mu opowiadać, na wpół żartem, jak to się traktowało w czasie niewoli rzeczy poważne, że zmieniłem zawód a także miejsce zamieszkania, bo już zaczynało się koło mnie robić gorąco. I nagle podniósłszy oczy za jego ręką, nalewającą mi kieliszek— urwałem w pół zdania. Zobaczyłem raptem twarz Bazylego tak obcą, jakbym ją ujrzał pierwszy raz w życiu. — Do diabła — przecież ja tego człowieka w ogóle nie znam — pomyślałem. Bazyli dolał sobie i powiedział spokojnie:

— Człowieku, to sprawy gardłowe, bawisz się w to?

— A co ty robisz, grasz jeszcze? — zagadnąłem, aby wyminąć jego pytanie. Zrobiło mi się głupio i smutno; wódka miała wstrętny smak i po pierwszym kieliszku wstrząsnęło mną, jakbym był na czczo. Bazyli siedział po drugiej stronie stołu, tak daleko, jakby nas dzieliła przestrzeń całego pokoju. Głosy ze sklepu, spoza firanek na oszklonych drzwiach, wydawały mi się bliskie, a ludzie i konie, tam sprzed ganku, ocierali się niemal o mnie. Z daleka, niby cudze słowa, których muszę słuchać, ponieważ nie mogę sobie zatkać uszu, dochodziło mię opowiadanie Bazylego.

Jeździł po „dystrykcie" i z ramienia spółdzielni robił zakupy zbóż i nasion szlachetnych. Miał rozległe stosunki i, jak na te czasy, nieźle zarabiał. Spotkał swoich dawnych kolegów z uniwersytetu we Frankfurcie, dzisiaj już pułkowników, którzy nie są wcale takimi niemądrymi nazistami, za jakich uważa się Niemców. Zaznał od nich wiele dobrego. Pytam się, czy gra jeszcze w karty? O tu, nie dalej jak tydzień temu, szkoda, że mnie przy tym nie było, byłbym miał okazję podziwiać jedną z tych, jak je nazywałem, „śmiertelnych partii", które tak lubiłem. Otóż, czekając na szofera, którego posłał naprzód z dziesięcioma tysiącami złotych dla zadatkowania rzepaku i zakontraktowania furmanek po drugiej stronie Wisły — siadł do „takiej maleńkiej partyjki szmenia". — „Józek" — powiedział szoferowi na odchodnym — „będę czekał na ciebie tu w rynku, u mamy Morańskiej, zjem coś i prześpię się". U mamy Morańskiej, przegrał czekając wszystko, co miał w portfelu na zakup rzepaku dla spółdzielni, to jest okrągłe dziewięćdziesiąt tysięcy złotych. Nad ranem wstał od stołu z wrażeniem pustki w sercu, z tym znanym uczuciem, nie mającym zresztą w sobie nic przykrego. Jest to stan lekkości, niezależności, w którym człowiek gotów jest sobie palnąć w łeb, gdyby miał co pod ręką, ale też stać go na zażądanie śniadania i spokojną, bezmyślną konsumcję. O czym zresztą miał myśleć? Czy o tym, że za godzinę czy dwie, jak się na dobre rozwidni, jego szofer przyjdzie mu powiedzieć — spokojnie i rzeczowo, jak to mają w zwyczaju ludzie prości, wypełniwszy skrupulatnie obowiązek — że furmanki z rzepakiem czekają, wystarczy je tylko przejąć i zapłacić. Wtedy stało się to. Na powalanym jeszcze wódką stoliku, sprowokowany przez jakiegoś fryca, który udając przemądrzalca, rozdał na próbę karty z długiego węża rozsypanego na stole — „Chemin de fer" ruszył znowu. Stał przez chwilę, przegryzając kanapkę. Tysiąc, dwa, cztery, osiem, szesnaście. Miał jeszcze parę groszy, dopożyczył, wygrał. Była to obraza dla partnerów i kibiców. Zasiedli znowu. I w chwili, kiedy pani Morańska otworzyła drzwi frontowe i wpuściła chłodne, dzienne światło z pustego rynku — miał już pięćdziesiąt tysięcy, a po pół godzinie, gdy do restauracji wszedł szofer, rozglądając się za nim — mógł odwrócić się i powiedzieć obojętnie do niego: „Dobrze Józiu, zaraz idę..." Miał wszystkie pieniądze z powrotem.

Byłem bardzo daleko od miejsca i czasu, w chwili, kiedy Bazyli kończył opowiadanie. Ocknąłem się dopiero w momencie, kiedy płacąc pochylił się do mnie przez stół i zapytał, czy nie mam drobnych paru złotych, bo nie chce wydobywać tutaj z teczki pieniędzy, przeznaczonych na zakup nasion koniczyny. Kiedy przeciskaliśmy się przez sklep, między plecami odzianymi w spłowiałe, przykrótkie marynarki i w kurtki pachnące psią sierścią — panowała zła cisza, tylko szynkarz, bardzo głośno, przypominał komuś, jakiś zapomniany dług sprzed miesiąca.

Pożegnałem się z Bazylim. Patrzyłem przez chwilę na jego pogrubioną bundą sylwetkę, sterczącą na tylnym siedzeniu furmanki. Gdy zniknęła, wróciłem do alkierza.

Na stole stała nowa butelka wódki. Jeden z tych, którzy czekali na mnie, zapytał nieufnie:

— Dawno znasz tego gościa?

— Co ja go tam znam. Przedstawiono mi go gdzieś przed wojną. Karciarz.

— A co za człowiek?—zapytał drugi od niechcenia. W owych czasach, wśród ludzi prostych, jak ci dwaj moi przyjaciele, takie pytanie wymagało jednej z trzech odpowiedzi, tak, nie wiem, lub nie.

— Cholera go wie — odrzekłem i czułem, że mówię prawdę. Doznałem wrażenia, jakby w tym miejscu i w tej chwili przebiegała linia walki dzieląca świat na dwie strony. Znałem takie chwile w życiu. Nie ma w nich czasu na uczucia złożone.. Jeśli się je ma nawet w stosunku do kogoś, kto jest po tamtej stronie, trzeba się z nimi czym prędzej wycofać. Po prostu dla tego, aby linia walki nie przeszła przeze mnie samego, abym nie potrzebował walczyć z samym sobą.

— To my go tu lepiej znamy. To nie jest nasz człowiek! — powiedział wtedy pierwszy, patrząc na mnie z naiwnym tryumfem człowieka prymitywnego, który poczuł przewagę. Zrobiło mi się wesoło, ale moje sympatie były już dawno po jego stronie. Nalał kieliszki. — Nie uważałeś, miał dużo forsy? — dodał, pochylając się i patrząc mi przenikliwie w oczy.

Wypiliśmy wtedy tę i jeszcze drugą flaszkę. Przed wieczorem rozjechaliśmy się. Nie pamiętam, abym miał jakieś wyrzuty sumienia. Nie przypominam też sobie, abym z tego co zrobiłem, czuł jakąś satysfakcję, abym uważał to za odwet, dokonany na sobie i Bazylim. Cóż — ostatecznie, nawet kibic, w obliczu emocjonującej gry, nie potrafiłby się zdobyć na tak absolutną neutralność, aby którejś ze stron nie życzyć wygrania.

(Dokończenie na stronie siódmej)

*) Z cyklu: „Profile moich przyjaciół".

TADEUSZ RÓŻEWICZ

WIDZENIE I TRWOGA SPRYCIARZA

O, to spryciarz — mówią o nim inni

Robotnicy którzy idą na nocną zmianę
robotnicy którzy idą
robotnicy którzy

Słyszę ich krok pod oknem

Oni mają takie opuszczone ręce
i wlcką za sobą nogi
bo ja jestem kulą u ich nóg
bo ja jestem
i dźwigają własne ciała jak wory
a usta mają zatrzaśnięte.

Patrzę na nich przez szybę
jak na blaszane figury
z jarmarcznej strzelnicy

Kimkolwiek jestem:
czy poetą ze złamanym sercem
czy nieuczciwym aptekarzem
czy człowiekiem który się wygodnie urządził
oni przejdą po mnie
oni przejdą
miarowym krokiem

oni z gwiazdą czerwoną w głowie

a ja zostanę
w szczelinie wielkiego
miasta
a ja
otoczony wieńcem ludzi
którzy świecą brodami.

Trzeba się było jakoś urządzić
w tej całej historii

myślałem że można tak
myślałem że można
myślałem mogę się zamknąć

miałem przecież klucz i drzwi
miałem przecież

w zamknięciu mówiłem
To wszystko jedno
tak na pewno tak

Myślałem że można żyć bez wiary
i jeść przez czterdzieści lat rosół z makaronem
stukać do drzwi zdejmować kapelusz
sprawdzać czy zapięte
zamykać i otwierać

Mój świat jest teraz
jak puszka po konserwach
mój świat jest jak puszka
blaszana

Oto co zamyka i otwiera
mój klucz.

przełożył z chińskiego OLGIERD WOJTASIEWICZ

STWO

bułka z ludzką krwią to najlepsze lekarstwo na suchoty!

Usłyszawszy słowo „suchoty" Hua Tama zmieniła się na twarzy, jak gdyby wyraz ten sprawił jej przykrość, ale natychmiast odzyskała uśmiech i niepostrzeżenie wyszła z izby. K'ang Taszu nie zauważył tego i jeszcze bardziej podniósł głos, do którego przyłączył się teraz ostry kaszel Sjaoszuana, śpiącego w izdebce w głębi.

— Właściwie wasz Sjaoszuan najwięcej na tym skorzystał. Choroba na pewno go odejdzie. Nic dziwnego, że Laoszuan taki uradowany — powiedział człowiek z siwiejącą brodą, kierując się jednocześnie w stronę K'ang Taszu, aby go zapytać przyciszonym głosem: — Słyszałem, że zbrodniarz ścięty dziś rano był z rodziny Sja, ale kto to był i o co właściwie chodziło?

— A któż by to mógł być, jak nie ten szczeniak, syn tej Sja Sy — K'ang Taszu widząc, że wszyscy słuchają go z zaciekawieniem, poczuł się nad wyraz zadowolony, mięśnie jego twarzy naprężyły się jeszcze bardziej, i wykrzyknął na cały głos: — Ten szczeniak nie chciał żyć, po prostu nie chciał żyć. No, ale ja przecież nic z tego nie miałem, bo nawet jego ubranie co do sztuki zabrał strażnik więzienny, czerwoncoki A I. Najlepiej wyszedł na tym nasz Laoszuan, a po nim Sja San, który zarobił dwadzieścia pięć liang pięknego srebra, z czego nikomu nie odstąpił ani grosza...

Sjaoszuan powoli wyszedł z izdebki, przyciskając ręce do piersi i zanosząc się od kaszlu. Przeszedł do kuchni, wziął miskę zimnego ryżu, zalał go wrzącą wodą i zabrał się do jedzenia. Hua Tama podeszła do niego i spytała cicho: „Czy nie czujesz się lepiej? Ciągle jesteś taki głodny?"

— Doskonałe lekarstwo, pierwszorzędne lekarstwo! — K'ang Taszu rzucił okiem na Sjaoszuana, ale zaraz ponownie zwrócił się do swych słuchaczy. — Sja San jest bardzo chytry: gdyby nie doniósł władzom, to cała jego rodzina zostałaby ścięta, a majątek skonfiskowany, a tak to co? Srebro!!!... A ten szczeniak i tak nie wart był lepszego losu: nawet siedząc w więzieniu chciał jeszcze namówić strażnika, żeby się przyłączył do spisku przeciw rządowi.

— Ojej! Coś takiego! — zawołał z oburzeniem jakiś dwudziestokilkuletni mężczyzna siedzący w głębi izby.

— Musicie wiedzieć, że A I chcąc go ostrożnie wybadać, wdał się z nim w rozmowę. Tamten powiedział mu: „Cesarstwo należy do nas wszystkich". Pomyślcie, czy człowiek może mówić w ten sposób? A I wiedział, że jego najbliższa rodzina składa się tylko ze starej matki, ale nie przypuszczał, iż oni oboje są tak biedni, że nic się z nich nie da wycisnąć. Już był wzburzony, a kiedy tamten jeszcze go tak rozdrażnił, A I dał mu kilka razy w gębę.

— A I umie dobrze bić, tamtemu na pewno porządnie się dostało — ucieszył się nagle siedzący w kącie T'opei.

— Tamten nie tylko nie dał się zastraszyć, ale nawet powiedział, że można najwyżej mieć litość.

— Jak można mieć litość, kiedy się bije takie coś? — zapytał człowiek z siwiejącą brodą.

K'ang Taszu spojrzał na niego lekceważąco i rzekł z ironicznym uśmiechem:— „Nie usłyszałeś dobrze tego, co mówiłem. Zdaniem tamtego można mieć litość nad A I!

Blask w oczach słuchaczy nagle zgasł, rozmowa urwała się. Sjaoszuan, cały mokry od potu, skończył jeść. Jego głowa zdawała się niemal parować.

— Można się litować nad A I.. Zwariował, po prostu zwariował!— zawołał człowiek z siwiejącą brodą, olśniony swoim odkryciem.

— Zwariował! — powtórzył z głębi izby dwudziestokilkuletni mężczyzna, również olśniony odkryciem.

Goście siedzący w herbaciarni nagle ożywili się znowu i zaczęli rozmawiać i śmiać się.

Sjaoszuan kaszle gwałtownie korzystając z panującego hałasu. K'ang Taszu podchodzi i klepiąc go po ramieniu mówi: — Doskonałe lekarstwo! Sjaoszuan, nie powinieneś tak kaszlać. Doskonałe lekarstwo.

— Zwariował — kiwa głową T'opei U.

IV

Teren przylegający do murów miejskich, położony za Zachodnią bramą stanowił pierwotnie własność publiczną. Ścieżka, wijąca się środkiem, a wydeptana przez ludzi szukających sobie krótszej drogi, z biegiem czasu stała się czymś w rodzaju naturalnej granicy. Na lewo od niej chowano ludzi, którzy zginęli z ręki kata lub zmarli w więzieniu. Na prawo znajdowały się groby biedaków. Po obu jej stronach grobów tych było tak wiele, że przypominały ciastka, przygotowane w zamożnym domu na uroczystość urodzinową.

Owego roku dzień Święta Zmarłych był wyjątkowo chłodny. Wierzby wypuściły pączki mniejsze od ziaren ryżu. Hua Tama już wcześnie rano odwiedziła świeży grób, położony na prawo od ścieżki. Ustawiła na nim cztery talerze z potrawami oraz miskę z ryżem, popłakała chwilę i spaliła papierki, które zastępowały pieniądze. Siedziała zamyślona z uczuciem, że czeka na coś, ale sama nie wie na co. Lekki wiatr poruszał jej krótkie włosy, znacznie bardziej siwe niż ubiegłego roku.

Ścieżką prowadzącą pomiędzy grobami nadeszła kobieta w podartej odzieży siwiejąca podobnie jak Hua Tama. Niosła zniszczony okrągły koszyk, polakierowany na czerwono, z którego zwisał pęk pasków papieru zastępującego pieniądze. Szła powoli, zatrzymując się co chwila. Spostrzegłszy nagle, że Hua Tama przygląda się jej, przybladła i zawahała się jakby zawstydzona. Opanowała się jednak, podeszła do grobu położonego po lewej stronie i postawiła na ziemi swój koszyk.

Grób ten znajdował się dokładnie naprzeciw grobu Sjaoszuana, dzieliła je tylko ścieżka. Kobieta ustawiła cztery talerze z potrawami i miskę z ryżem, popłakała chwilę i spaliła paski papieru. Hua Tama patrząc na to pomyślała: „W tym grobie leży jej syn". Kobieta przez chwilę patrzała na grób otępiałym wzrokiem, a potem nagle zaczęła drżeć i cofnęła się kilka kroków z nieprzytomnym wyrazem oczu.

Hua Tama przestraszyła się, że kobieta oszaleje z żalu. Nie mogąc znieść jej widoku wstała, przeszła na drugą stronę ścieżki, i powiedziała cicho: — Matko, nie trzeba tak rozpaczać. Wracajmy do domu.

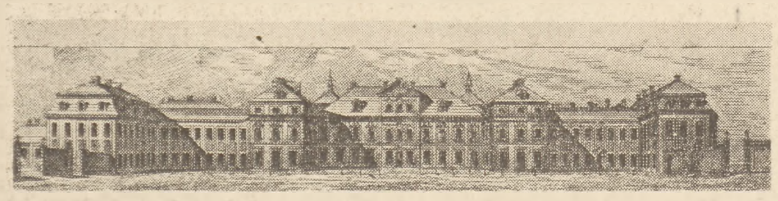
Kobieta skinęła głową, nie odwracając oczu, i szepnęła: — Patrz... patrz, co to takiego?...

Hua Tama spojrzała na grób znajdujący się przed nimi, tak jak wska-

(Dokończenie na stronie siódmej)

WARSZAWA FRYDERYKA CHOPINA

Pałac Saski według sztychu Tirregaille'a. Widok od podwórca pałacowego, czyli późniejszego placu Saskiego.



Gdy pan Mikołaj Chopin opuścił jesienią 1810 roku posadę guwernera u krewnego swej żony hrabiego Fryderyka Skarbka w Żelazowej Woli, aby objąć stanowisko wykładowcy języka francuskiego i belles-lettres w Liceum Warszawskim, zamieszkali państwo Chopinowie w ciasnym mieszkaniu w środkowej kondygnacji Pałacu Saskiego. W tym pałacu bowiem od 1802 do 1816 r. mieściło się Liceum Warszawskie. Tutaj zatem minęły pierwsze lata dzieciństwa Fryderyka Chopina w Warszawie. Pałac Saski przebudował z dawnego pałacu Bielińskich w pierwszej ćwierci osiemnastego wieku król August II. Przebudowa nie była zasadnicza, raczej przybudowano do dawnego pałacu Bielińskich dwa skrzydła rozwinięte i załamane pod kątem prostym. Stąd to powstał ten przydługi pałac bez wielkiej wartości architektonicznej, który widzimy na sztychu według Tirregaille'a. August II i August III przemieszkiwali jednak z upodobaniem w Pałacu Saskim, który i po ich śmierci zatrzymał dwór drezdeński, utrzymując w nim swoich urzędników i wynajmując gmach magnatom na czasowe mieszkania. W roku 1837 rząd rosyjski sprzedał cały gmach kupcowi Janowi Skwarcowi pod warunkiem zburzenia. Część środkowa, czyli dawny pałac Bielińskich, została rozebrana i według planów Adama Idźkowskiego stanęła w 1842 r. na jej miejscu galeria kolumnowa na arkadach, łącząca dwa przebudowane zupełnie skrzydła. Dzisiaj mieści się w resztkach kolumn grób Nieznanego Żołnierza.

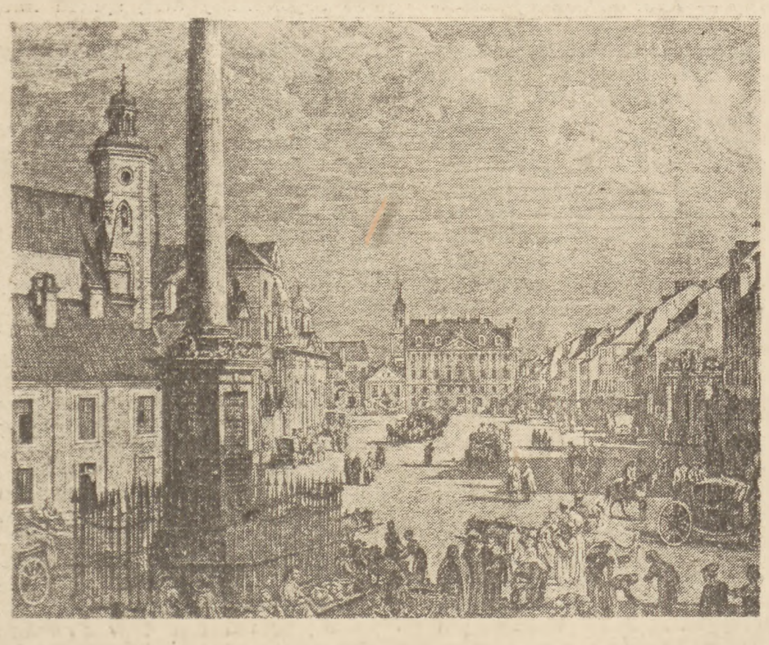
Pałac Kazimierzowski



według obrazu Zygmunta Vogla

Gdy władze wojskowe zajęły Pałac Saski na swoje potrzeby w 1817 r., przeniesiono Liceum Warszawskie do Pałacu Kazimierzowskiego. Państwo Chopinowie zamieszkali w oficynie po prawej stronie tego pałacu z widokiem na Liceum i na stare drzewa. Mieszkali tutaj lat 10, po czym wynajęli mieszkanie w pałacu generała Krasińskiego vis à vis Pałacu Kazimierzowskiego. Najwcześniejsza młodość Frycka minęła zatem w murach dawnego pałacu Zygmunta III i Władysława IV, odbudowanego po zniszczeniach, spowodowanych najazdem Szwedów, przez króla Jana Kazimierza i na jego cześć nazwanego Kazimierzowskim. Pałac nabył następnie król Jan III i mieszkał w nim ze swoją Marysieńką aż do wybudowania pałacu w Wilanowie. Od królewicza Konstantego Sobieskiego nabył pałac w 1724 r. król August II i przebudował na koszary pułków książąt de Nassau i Saxe-Gotha. Posiadłość po różnych peregrynacjach przeszła na własność Stanisława Augusta Poniatowskiego za 2000 dukatów. Król urządził w niej słynną Szkołę Kadecką, której uczniami byli między innymi Niemcewicz, Dąbrowski i Kniaziewicz Po rozbiorach za czasów pruskich mieścił się tutaj „Justiz-Magistrat", za czasów młodości Chopina Liceum Warszawskie, wreszcie Uniwersytet.

Wycinek ze sztychu Canaletta z gmachem późniejszej Szkoły Głównej Muzycznej



Pierwsze Konserwatorium Warszawskie właściwie „Szkoła Główna Muzyki" mieściła się w dawnym klasztorze Panien Bernardynek przy zbiegu Krakowskiego Przedmieścia i Placu Zamkowego, tam, gdzie po rozbiórce klasztoru, dokonanej w 1843 r. był wylot wiaduktu Pancera. Przy klasztorze był kościół pod wezwaniem św. Michała, ogólnie zwany kościołem św. Klary, który zamieniono potem na salę koncertową. Klasztor Panien Bernardynek powstał w 1554 r. Za czasów Księstwa Warszawskiego zajęto w 1809 r. klasztor pod arsenał. Panny Bernardynki szukały schronienia u Panien Kanoniczek w Marywilu i musiały się długo tułać poza swoimi murami, gdyż władze wojskowe ulegające ówczesnym prądom antyreligijnym, mimo gorącej prośby arcybiskupa gnieźnieńskiego Raczyńskiego, długo klasztoru nie zwracały. Wreszcie Panny Bernardynki zostały przeniesione do Przasnysza, a ich klasztor wraz z kościołem św. Klary Rada Administracyjna na wniosek Stanisława Staszica przydzieliła decyzją z 16 listopada 1819 r. nowoutworzonej Szkole Głównej Muzyki. Dyrektorem został Józef Elsner. Do nowootwartego Konserwatorium zapisało się dwustu „elewów" obojga płci. Tutaj to Fryderyk Chopin we wrześniu 1826 r. wstąpił, jako uczeń kompozycji, na trzyletni kurs. W ocenach dyrektora Elsnera uzyskał następujące kwalifikacje:

w 1827 r. „Pierwszoletni: Chopin Fryderyk szczególna zdolność".
w 1828 r. „Chopin Fryderyk szczególna zdatność, drugoletni, wyjechał dla polepszenia zdrowia" (do Wiesiołowskich w Strzyżewie; pani Anna Wiesiołowska z domu Skarbek była chrzestną matką Fryderyka — przyp. St. Sz.).
w 1829 r. Chopin ukończył studia w Konserwatorium. Ocena Elsnera była krótka: „Geniusz muzyczny".

Konserwatorium zostało zamknięte po powstaniu w 1831 r., a gmach zajęty pod koszary. Na szkicu Canaletta w lewym rogu widzimy część klasztoru i kościoła Panien Bernardynek.

»MAZUR«

Salvaneschi powiedział:

„Beethoven nie słysząc już, rzuca w świat boską obietnicę IX symfonii, a Chopin złamany chorobą, rozsiewa perły swoich preludiów. Nie masz zdobyczy bez cierpienia".

Cała twórczość Chopina, zawarta w 65 opusach, to refleks wewnętrznych bojów oraz własnej tragedii polegającej na tęsknocie do rodzinnego kraju, zawodach miłosnych, trawiącej go chorobie i pragnieniu przetrwania w pamięci potomnych.

— — — — — — —

Twórczość Chopina zaczęła się od poloneza, a skończyła na mazurku.

Mając 7 lat, pisze i dedykuje Skarbkowi pierwszy swój utwór, poloneza (1817); mając 11 lat napisał poloneza W. Żywnemu na imieniny (23 kwietnia 1821 r.), a wyjeżdżając w sierpniu 1826 r. do Dusznik, pisze pożegnalnego poloneza B-moll — W. Kolbergowi.

Pierwszy mazurek Chopina, jest o 8 lat młodszy od pierwszego jego poloneza (1825), ale tej formie polskiego tańca ludowego pozostał on wierny do śmierci.

W tej formie zawarta została, najsilniej przemawiająca, polskość Chopina.

Polskość Chopina!

Popatrzmy na zebrane przez Opieńskiego „Listy Chopina".

W dniu 26 stycznia 1831 r. pisze on z Wiednia do Elsnera: „Malfatti napróżno się stara mnie przekonać, że każdy artysta jest kosmopolitą. Choćby i tak było, to jako artysta jestem jeszcze w kolebce, a jako P o l a k, trzeci krzyżyk zacząłem". (l. c. str. 99).

Do rodziców pisze z Nohant w lipcu 1845 r.:

„A ja prawdziwy, ślepy M a z u r"... (l. c. str. 128).

Do pani George Sand pisze po francusku 14 sierpnia 1843 r.:

„...il faut que je choisisse les mots, dont je connais l'orthographe" — „muszę dobierać słowa (francuskie), których znam ortografię".

Tym zaś, którzy, jak Bela Bartok, zarzucają sztuczność inwencji ludowej u Chopina, wskazujemy list, pisany z Paryża do rodziny na Wielkanoc 1847 r., a dotyczący zbiorów pieśni ludowych O. Kolberga:

„Dobre chęci, za wąskie plecy. Często podobne rzeczy widząc myślę, że lepiej nic, bo mozół ten tylko skrzywia i trudniejszą robi pracę geniuszowi, który kiedyś tam prawdę odwikła. A aż do czasu owego, wszystkie te piękności zostaną z przyprawianymi nosami, z poobcinanymi nogami, albo na szczudłach i pośmiewiskiem będą tym, co lekko na nich spojrzą".

— — — — — — —

Dzieciństwo Chopina to niefrasobliwość.

Redaguje w Szafarni na złość „Kurierowi Warszawskiemu", „Kurier Szafarski", podpisując się nie Chopin, lecz Pichon, pisze komedyjki. A listy jego z tych czasów?

„Byłem onegdaj proszony do niego wraz z papą na laxa (nie na laxans)... alem się później przekonał..., że to jest łosoś, po niemiecku „Lachs" (list z 24 grudnia 1825 r. l. c. str. 13).

„Mą szer! La letr, ke wu mawe zekryt, ucieszyła mnie... Demę nu finisą nasz egzamin"... list z 27 lipca 1825 r. l. c. str. 6. Oba listy pisane, do J. Białobłockiego).

Aż wreszcie nadchodzą czasy, kiedy znalazł „na swoje nieszczęście, swój ideał...": Konstancja Gładkowska.

Poświęca jej Larghetto koncertu F-moll, w ciągu jednego ranka napisany walc Des-dur op. 70 nr 3 z Es w trio, co miało mieć jakieś szczególne, im tylko obojgu, wiadome znaczenie.

Ale cóż, nie może się oświadczyć, nie może uciec... Jakaś atrofia woli. Folie de doute — mania zwątpienia, która go już nie opuszczała przez całe życie. Pochodnia tego życia płonęła dziwnym jakimś ogniem gorączkowego podniecenia a równocześnie smutku. Bezpowrotny wyjazd z Warszawy „w obce kraje" wciąż był odraczany, Chopin nie mógł się zdecydować na ustalenie terminu.

„Nie mam dosyć siły do zdecydowania dnia; myślę, że wyjeżdżam po to, żebym na zawsze zapomniał o domu; myślę, że jadę umrzeć — a jak to przykro musi być umierać gdzie indziej, nie tam, gdzie się żyło..." (list do T. Wojciechowskiego z 4 września 1830 r. l. c. str. 72).

Po wyjeździe zaś medytuje — po co wyjechał? Zaczyna tęsknić do kraju.

„7 tygodni wczoraj minęło, jakem was opuścił. Po co?... już się stało" (z Wiednia do rodziców l. c. str. 91).

„Przeszłego roku o tym czasie byłem u Bernardynów (Konserwatorium). Dzisiaj w szlafroku sam jeden siedzę, pierścionek gryzę i piszę". (Boże Narodzenie 1830 r. Do Matuszyńskiego l. c. str. 94).

Trapi go, że nie może być pomocny w powstaniu.

„Czemuż nie mogę choć bębnić?" Wróciłby natychmiast, „gdyby nie to, że ojcu teraz może ciężar".

Poza Gładkowską, stoją dokoła Chopina inne jeszcze postaci kobiece.

Maria Wodzińska, Delfina Potocka, wreszcie pani Dudevant, pisarka, która występowała pod męskim imieniem: George Sand.

— — — — — — —

Ulubioną porą ludzi nerwowych, przewrażliwionych, a Chopin podobnie jak Juliusz Słowacki był człowiekiem przewrażliwionym i przeczulonym, lubującym się w symbolach samoudręki moralnej — jest wieczór.

Siadał wówczas przy fortepianie i improwizował, szukając owej „note bleue", błękitnej nuty...

To była godzina całego romantyzmu. Wilamowicz pisze, że Grecy od czasów Homera wielbili różanopalcą jutrzenkę, wschód słońca, a rzadko kiedy jego zachód.

Wschód słońca, to jest pora klasyczna, zachód — to romantyzm.

„Jak mogą lubić księżyc ludzie szczęśliwi? — oburzał się trzeźwy i pozytywistyczny umysł Bolesława Prusa — to patron tułaczów, symbol nieukojonej tęsknoty i śmierci... Wszystkie jego ruchy, to ciągłe szamotanie się z siłą postyczną, czy odśrodkową. On rwie się do ziemi, a nie usypiająca moc złego losu wciąż spycha go z drogi... Szatan i obłęd panują zawsze w nocy, dzień jest ojcem zdrowego sądu..."

Romantycy wyglądali przez okna, które wychodziły na zachód. „Nie było dla niego wschodu słońca! Za to jakże przedziwne księżyce on odkrył!" (Huneker, l. c. str. 97). Wspomnijmy nokturny.

— — — — — — —

Choć serce i płuca zranione podkopały, stoczyły wreszcie to życie i zgasiły jego szczególny płomień. Umarł pod ulubioną osłoną nocy, 17 października 1849 r. w Paryżu przy Place Vendôme nr 12.

W notatniku na wyrwanej kartce znaleziono skreślone ołówkiem ostatnie jego słowa:

„Comme cette toux m'étouffera, je vous conjure de faire ouvrir mon corps pour je suis pas enterré vif" — „Gdy (ponieważ) kaszel ten mnie zadusi, zaklinam was, każcie otworzyć moje ciało, żebym nie został pochowany żywcem".

Styl Chopina zaciążył na twórczości wielkich romantyków: Schumanna, Liszta i Wagnera, powołał do pracy twórczej mistrzów muzyki narodowej: Griega, Smetanę, Bałakirewa, Rachmaninowa, Skriabina, Debussy'ego, Szymanowskiego, żyje po dziś dzień i jest nieśmiertelny!

W pogrzebie, dnia 30 października wzięli udział Meyerbeer i Berlioz. Pani George Sand nie było... W kościele Madeleine Konserwatorium pod Giraudem wykonało „Requiem" Mozarta. Lefébre-Wély odegrał na organach w czasie Offertorium preludia E-moll nr. 14, H-moll nr. 6, po raz pierwszy wykonano zorkiestrowanego przez Henryka Rebera marsza pogrzebowego z sonaty op. 35 B-moll. Nad grobem nikt nie przemawiał.

Wszystko co śmiertelnego było w Chopinie, spoczęło na paryskim cmentarzu Père Lachaise, między mogiłami Belliniego i Cherubiniego, a umęczone tęsknotą do kraju jego serce matka przewiozła troskliwie do Warszawy, gdzie dotąd przebywa w pierwszym lewym filarze głównej nawy kościoła Świętego Krzyża, o kilkanaście zaledwie metrów od rodzinnego domu, który stał przy zbiegu Krakowskiego Przedmieścia i obecnej ulicy Traugutta.

Powróciło tedy to serce do źródła swych przeczystych wzruszeń, gorących natchnień i serdecznych tęsknot, do swego skarbu, do polskiej ziemi.

Marian Borzęcki

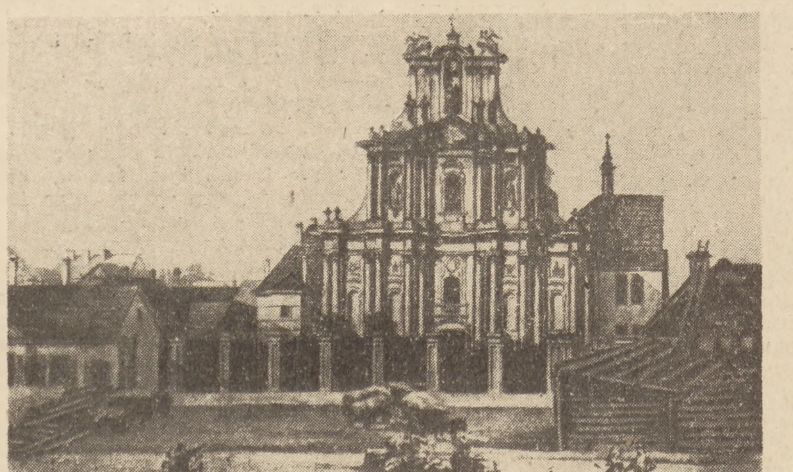
Koński targ



według obrazu Zygmunta Vogla

Poszerzeniem jak gdyby ulicy Królewskiej było terytorium, położone między Królewską, Marszałkowską i Mazowiecką, nazwane jeszcze w początkach XVIII wieku Końskim Targiem. Tutaj to zasłużony w uporządkowaniu Warszawy, marszałek Franciszek Bieliński na miejscu starego dworu wybudował wspaniały pałac. Vis à vis pałacu było otoczone barierami targowisko końskie. Za pałacem znajdował się dworek „na Otwockiem", gdzie różni kuglarze odbywali swoje przedstawienia. Za czasów Fryderyka Chopina mieściła się w dawnym pałacu Bielińskich najpierw Szkoła Prawa i Administracji, a następnie, po utworzeniu Królestwa Kongresowego Szkoła Podchorążych Konnicy.

Kościół Panien Wizytek na Krakowskim Przedmieściu



według obrazu Zygmunta Vogla

Panny Wizytki sprowadziła z Francji królowa Maria Ludwika, żona Jana Kazimierza. Zadaniem Wizytek miała być praca nad poprawą upadłych dziewcząt oraz zapewne i krzewienie kultury francuskiej w Polsce poprzez kazania, głoszone w tym języku z pięknej kazalnicy, mającej kształt łodzi, która zachowała się do dziś. Za czasów Szkoły Głównej Muzycznej podczas porannego nabożeństwa niedzielnego w Kościele Wizytek według Sikorskiego: „chór, złożony z wychowańców i elewów ówczesnego konserwatorium pod przewodnictwem Elsnera, to z organem, to z orkiestrą wykonywał śpiewy religijne. Chopin mianowicie w ostatnim roku swego pobytu w Warszawie, częstym na chórze bywał gościem, i chętnie grywał na organach, to jest fugi różnych mistrzów, to własne improwizacje. Trudna część grania na organach, to jest użycie pedału zręczne a bogate, zupełnie mu łatwą była i wiodła go niekiedy do popisywania się prawie, co znowu prowadziło do stosownego rozbudzenia głosów klawiatury. I zdarzyło się raz w przerwie między ustępami Mszy wykonywanej z orkiestrą, że Chopin siadł do organu i za temat wziąwszy zwyczajem sławnych organistów motyw ostatniego ustępu, jął wylewać z niego bogactwo pomysłów tak wielkie i nieprzerwanym płynące potokiem, że wszyscy, od najstarszych do najmłodszych, ściśnięci około ławki grającego, zadumani, porwani, zapomnieli o miejscu i obowiązkach, na których spełnienie się zebrali. Aż ich obudził pośpieszny krok zakrystiana w biegu już zaczynającego perorę: „A cóż u licha państwo robicie? Ksiądz już dwa razy Dominus vobiscum zaczyna, chłopcy dzwonią a dzwonią przy ołtarzu, a organy nie ustają! Panna starsza okrutnie się gniewa".

Na obrazie Zygmunta Vogla widzimy kościół Panien Wizytek z niezmienioną fasadą, lecz otoczony żelaznym parkanem i niskimi domkami, obecnie już nie istniejącymi.

Teatr Narodowy na Placu Krasińskich



według obrazu Zygmunta Vogla

Warszawski Teatr Narodowy zajmował we wspomnieniach Fryderyka Chopina niepoślednie miejsce. Tutaj to słuchał on pierwszych oper oraz piewszych koncertów wybitnych artystów bawiących na gościnnych występach, żeby wspomnieć choćby pianistkę Marię Szymanowską, dwunastoletniego pianistę Antoniego Leśkiewicza, Hummla, Woerlitzera i wielu innych; tutaj pierwsza jego miłość, piękna Konstancja Gładkowska występowała w operze Paëra „Agnese" i w operze Rossiniego „Sroka złodziej"; tutaj chodził na próby opery Rossiniego „Turek we Włoszech", w której rolę tytułową grała koleżanka z Konserwatorium Anną Wołkow; tutaj wreszcie dał swoje własne wielkie publiczne koncerty w dniach 17 i 22 marca 1830 r.

Teatr Narodowy na placu Krasińskich wybudował z namowy Wojciecha Bogusławskiego, kamerdyner królewski i starosta piaseczyński Franciszek Ryx, który od księdza Augusta Sułkowskiego nabył nadany uchwałą sejmową w 1775 r. przywilej na wybudowanie teatru. Księżna Elżbieta Lubomirska popierała gorąco starania o wybudowanie teatru, a król Stanisław August sypnął dukatami z własnej szkatuły. Budowa według planów budowniczego Bonawentury Solarego trwała siedem miesięcy w roku 1779 Scenę urządzono tylko na cztery kulisy głębokości, a gmach nie posiadał ani garderób, ani rekwizytorni, wobec czego aktorzy przebierali się w sąsiedniej kamienicy. Widownia miała loże na parterze oraz pierwszym i drugim piętrze, miała galerię i paradyz oraz krzesła na parterze Bilet wejścia na parter kosztował początkowo sześć, później cztery złote. W takim stanie przetrwał teatr dwie generacje. Po wykończeniu rozpoczętego według planów A. Corazziego w 1825 r. Teatru Wielkiego, został zamknięty w 1833 r.

S t a n i s ł a w S z e n i c

ANDRZEJ WYDRZYŃSKI

Walka z teatrem o teatr

Państwowy Teatr Śląski w Katowicach zapowiada na dzień 5 marca prapremierę sztuki Andrzeja Wydrzyńskiego pt. „Komedia". Poniżej zamieszczamy uwagi autora „Komedii", pisane na marginesie sztuki. Oddając dziś głos autorowi, sądzimy, że recenzja, którą zamieścimy po obejrzeniu sztuki pozwoli zapewne ocenić, z jakim stopniem powodzenia udało się autorowi zrealizować swoje koncepcje.

Jeszcze na Pawiaku i później (po „zwiedzeniu" kilku obozów koncentracyjnych) w Dachau myślałem o napisaniu sztuki, która ujęłaby w syntezę lata dojrzewania mego pokolenia, tzn. okres poprzedzający wojnę — i lata okupacji. Miała to być próba pokazania poprzez jakąś wymyśloną rodzinę pewnego środowiska na tle epoki. Próba realistycznego ujęcia ludzi i problemów — i równocześnie próba h i s t o r y c z n e j s y n t e z y. Celność sformułowań umożliwiłoby użycie języka poetyckiego o bardzo wyraźnym wewnętrznym rytmie.

Wyszukiwanie dla nowych treści nowych form, właściwych wyłącznie danym tematom, pasjonowało mnie w moich zamierzeniach pisarskich najbardziej.

Do początkowej koncepcji zobrazowania kilku lat w jednym akcie bez opuszczania kurtyny dołączyła się jeszcze jedna sprawa związana z osobistymi przeżyciami i skojarzeniami w czasie przewlekłych tortur w urzędzie Gestapo: **przedstawić te lata tak, jak mógł je sobie wyobrazić i przypomnieć w chwili śmierci skazaniec, zamknąć je w ostatniej, poprzedzającej śmierć sekundzie.**

Napisać dramat, który by był nie tylko syntezą pewnego okresu — ale równocześnie kroniką pokolenia i tego środowiska, z którym rozstałem się jeszcze przed wojną, jako kilkunastoletni chłopak, oszołomiony „Manifestem komunistycznym" i „Etyką" Kautskiego.

Zamierzony dramat powinien był się rozgrywać w ciągu jednej sekundy, w oczach ginącego człowieka, zbuntowanego reprezentanta klasy uprzywilejowanej. Miał być dramatem H a m l e t a p o l s k i e j i n t e l i g e n c j i, człowieka, który zna cierpki smak świata i jakość życia w warunkach oficjalnego i uświęconego wyzysku — ale który jest zbyt słaby, zbyt chwiejny, żeby mógł z równie słabym moralnie światem walczyć. Temu Hamletowi, opuszczającemu wobec zbliżającej sięzagłady bezwładne ramiona, postanowiłem w zamierzonym dramacie wytoczyć p r o c e s i dać mu pełne prawo do obrony zajętej przeżeń i przegranej z wyroku historii pozycji.

W realizacji pomysłu nie chciałem za żadną cenę sięgać do środków pozarealistycznych, chociaż te nasuwały się natarczywie. Po okresie przygnębiającej rezygnacji nastąpiło olśnienie: zrozumiałem, że najwłaściwszą drogą będzie zastosowanie w danej sztuce techniki filmowej.

✤

Świetny rozwój filmu rozpoczął się od chwili, w której operator po raz pierwszy poruszył obiektywem, gdy aktorzy nie podchodzili już do obiektywu, ale gdy operator wraz z aparatem „chodził" za nimi, ustawiał obiektyw pod różnym kątem nachylenia, przybliżał go — i zdejmował tylko fragmenty postaci i przedmiotów. Kinematografia, krocząc tą drogą, rozpoczęła pracę nie tylko dla pożytku sztuki filmowej, ale równocześnie wytrwałą i wielce pożyteczną pracę dla teatru. Znajdujemy się w tym miejscu, w którym doświadczenia filmu mogą również być pożyteczne dla sztuki teatralnej, mogą wstrzyknąć w jej stare żyły parę litrów świeżej, gorącej krwi.

✤

Trudność leży częściowo poza sceną. Pewne zdobycze techniki filmowej są własnością wszystkich reżyserów filmowych, natomiast zdobycze techniki teatralnej stają się prawem kaduka własnością poszczególnych dramatopisarzy i reżyserów teatralnych. Mam na myśli taką np. sytuację: zbliżenie twarzy do obiektywu może stosować każdy reżyser filmowy. Jeżeli natomiast autor lub reżyser oświetli twarz aktora reflektorem punktowym, wtedy jacyś mędrcy wołają z niewiadomej przyczyny: „ach! to już było w sztuce pana X!" — chociaż sztuka pana „X" ani w problemach ani w charakterze postaci nie ma nic wspólnego z danym utworem. Gdyby uczeni i wynalazcy bawili się w podobnie pseudokrytyczną metodę badania, na pewno nie mielibyśmy dzisiaj zielonego pojęcia o samolotach i patrzylibyśmy z rozrzewnieniem na projekt helikoptera, narysowany przez genialnego Leonarda da Vinci.

✤

O czym powyżej pisałem, o tym myślałem jeszcze przed powstaniem „Komedii". Nie chcąc bronić swej postawy i koncepcji sztuki przez usta jej bohaterów, nie chcąc jej w ogóle bronić — ograniczę się w dalszej części do uwag ogólniejszych: gra twarzy, gra rąk, gra minimalnego gestu, gra pauzy i prawdziwość wypowiedzianych słów! Czyż nie to stanowi istotę teatru wzorowego?! Skoki na scenie, ciskanie aktorami od kulisy do kulisy, trzaskanie drzwiami, operowanie operowymi tłumami — to wszystko powinno się przenieść do specjalnych amfiteatralnych pomieszczeń albo do cyrku.

Oglądaliśmy aż do znudzenia kukły w najrozmaitszych sztukach i rolach, gładkie, wymuskane, poprawne, dobrze ułożone — ale nieprzekonywające przez to, że grały uczucia. Aktorowi nie wolno g r a ć u c z u ć, aktor musi sam odczuwać. O tym deklamuje się i powołuje na geniusza sceny, Stanisławskiego. Ale pokażcie mi tych, którzy znają go naprawdę! Wyliczyć ich można na palcach jednej ręki. Przyczyny? Chociażby brak przekładów, przerażające ubóstwo dzieł teoretycznych na temat teatru, teorii dramatu, techniki gry aktorskiej, inscenizacji, scenografii. W naszej prasie periodycznej wymaga się od zespołów świetlicowych o wiele więcej niż od teatrów zawodowych!

✤

Istotą teatru, wbrew temu, co dzieje się na naszych scenach, jest s ł o w o! Sergiusz Obrazcow mówił: **„słowo w najwyższym stopniu pobudza wyobraźnię... Wystarczy aluzja sytuacji, aluzja gestu, aluzja mimiki, słuchacz-widz dopowie sobie sam resztę w sposób pełniejszy i piękniejszy, niż mógłby to uczynić jakikolwiek teatr".**

Z artykułu, z którego przytoczyłem słowa Obrazcowa („Odrodzenie", nr. 214) podaję jeszcze jedno zdanie: „Nowoczesna, demokratyczna sztuka aktorska, to umiejętność zdyscyplinowanego zasadami ekonomiki, p o w ś c i ą g l i w e g o i oszczędnego wyrażenia głębokich treści. Prowadzi do niej żmudna, pracowita droga".

✤

Sądzę, że można pisać takie sztuki, które aktorów z m u s z ą do powściągliwości.

✤

Światła: częstokroć scena jest tak oświetlona, jak garderoba teatralna. Wiemy, że zmiana oświetlenia może zastąpić nawet zmianę dekoracji. (Świetne rezultaty osiągnęli w tej dziedzinie scenograf Jan Sladek i reżyser Karol Palcus, wystawiając w praskim Teatrze Realistycznym „Myszy i ludzi" Steinbecka). Gra świateł, kierowana przez elektrotechnika biorącego udział w danym przedstawieniu na prawach artysty — jest również jednym z zasadniczych elementów sztuki teatralnej.

✤

Teatr rewolucyjny, teatr romantyczny w sensie realizmu socjalistycznego, o którym Firmin Gémier pisał, że powinien stać się **kościołem społecznym, gdzie przez kult wszystkich połączonych z sobą sztuk lud powinien zyskać świadomość własnych losów** — to teatr porywający swą treścią większość narodu, teatr wyzwolonej i zwycięskiej klasy. To teatr zrywający z szablonem, z łatwizną, z wymachiwaniem rękami, z krzykiem na pełnym głosie. To teatr SŁOWA i wygranej do końca PAUZY, teatr żyjących ŚWIATEŁ.

✤

Jeszcze o formie: piszę prawie wyłącznie o niej. W starych formach powieści i dramatu niesposób się pomieścić. (Jakże żałośnie wyglądałby sonet opiewający czyn kongresowy polskich górników!). Szukając nowych form, trzeba równocześnie odczuwać lęk przed ich nadużyciem. Każdy chwyt musi wypływać z treści, musi być nią uzasadniony. Przerost formy zgubił teatr Meyerholda, przerost monumentalizmu i widowiskowości zgubił (na równi z faszyzacją Niemiec) teatr Reinhardta.

✤

Pisać tak i tak reżyserować sztuki jak Orson Welles realizował scenariusz filmu „Obywatel Kane": żeby były — jak pisze M. Margal — nieprzerwanym ruchem, mimo że każdy obraz w sobie jest statyczny.

✤

Teatr musi się stać syntezą sztuki: ma do dyspozycji żywych, myślących ludzi w czterowymiarowej akcji, ma pod ręką poezję, literaturę i muzykę, rzeźbę, malarstwo i architekturę, ma radiotechnikę, czarodziejską technikę maszynową, precyzyjnie działające reflektory punktowe, barwne światła, wreszcie zdobycze kinematografii. Dlatego ponosi odpowiedzialność częściową nie tylko za swoją przyszłość, ale również za przyszłość innych rodzajów sztuki.

✤

Pisząc o sztuce — zapomniałem o własnej sztuce, o „KOMEDII", którą na wszelki wypadek określiłem w podtytule jako RELACJĘ DRAMATYCZNĄ.

Dlaczego „relacja"? Ażeby dokonać próby urzeczywistnienia niektórych wymienionych w tym artykule postulatów wobec teatru nowoczesnego, musiałem w niektórych wypadkach unikać akcji zewnętrznej na korzyść RELACJI. **Starałem się napisać sztukę tak, jak wyobrażam sobie teatr: dlatego tekst sztuki zawiera również opracowanie reżyserskie, pełny projekt inscenizacji.**

Czy „udało się" — tego nie wiem, nie do mnie należą sądy. Wiem jednak, że takiego TEATRU warto szukać nawet kosztem nieudałego debiutu. Wiem także, że gdybym napisał tę sztukę w myśl ustalonych i utartych szablonów, ten czy inny teatr wystawiłby ją z większym lub mniejszym powodzeniem. Dyrekcja byłaby syta i autor cały. Ale autorowi mniej zależało na wystawieniu, niż na napisaniu czegoś, co wypowie przeżycia, światopogląd postaci i artystyczne koncepcje w sposób tak doskonały, na jaki tylko może się zdobyć niżej podpisany.

✤

Żeby sztuka „wyszła" należycie, do jej sześcioosobowej obsady (każdy z aktorów gra „główną" rolę) potrzebni są aktorzy o dykcji wyraźnej, czystej, sugestywnej, obrazowej. (Czytałem o radzieckich aktorach, którzy w sali zapełnionej tysiącem słuchaczy, siedząc w fotelu na scenie, opowiadają znane powieści i trzymają publiczność przez dwie godziny w nieustannym napięciu).

✤

Być może, że ostatnie słowo w technice budowy dramatu, w technice reżyserii, scenografii i stylu gry aktorskiej zostało już powiedziane. Więc po cóż do diabła wałęsać się gdzieś na peryferiach, kiedy prędzej czy później trzeba będzie wleźć w to, co już było i czego nikt nie ma zamiaru odwoływać, ani przekreślać. Być może — ale uwierzyłbym tylko w tym wypadku, gdybym w życiu społecznym i politycznym nie był rewolucjonistą. Sztuka należy również do moich poglądów politycznych.

✤

Ból, radość miłość, nienawiść czy jakakolwiek bądź pasja, może udzielić się widzowi przez opowiadanie, przez krótkie, dramatyczne RELACJE. Istnieje wzruszająca sztuka opowiadania, dzięki której można nawet w sposób doskonały przekazać uczucia. Można bez pokazywania celi więziennej i umundurowanych oprawców wzruszyć widza, przekonać go o bólu, o więziennej tęsknocie, o rozpaczy — posługując się formą sprawozdania.

✤

Ale — uwaga! — **czyż nie powinien istnieć taki teatr, powiedzmy eksperymentalny, w którym można byłoby wypróbowywać pewne sztuki, sprawdzać ich emocjonalność artystyczną i ideologiczną, przekonać się, jaki wpływ wywierają na widza?**

W chwili obecnej są nam bardziej potrzebne teatry „wiejskie" i „robotnicze" (objazdowe) niż „Narodowe" obok istniejących już kilkunastu teatrów w stolicy. Na ten temat inaczej wypowiem się wtedy, kiedy sztuka teatralna będzie u nas chociażby częściowo tak upowszechniona, jak ma to miejsce w Związku Radzieckim.

Wracając do naglącej potrzeby stworzenia teatru eksperymentalnego: jest bardziej potrzebny dla rozwoju naszego dramatopisarstwa (nowego, postępowego w formie i treści, rewolucyjnego) niż planowana jedna placówka reprezentacyjna: Teatr Narodowy.

W teatrze, o którym myślę: młodzi reżyserzy, młodzi aktorzy, nowi autorzy. Stworzenie rady artystycznej, do której wejdą również przedstawiciele związków zawodowych (oto jeden z kompromitujących braków naszych teatrów), organizowanie dyskusji, uczczenie aktorów gry zespołowej, ośmieszanie „gwiazdorstwa"; zaznajamianie ich nie tylko z historią sztuki, ale również z marksizmem - leninizmem. Wreszcie i nareszcie uczenie ich DYKCJI!

✤

Jedna z wyżej postawionych osób, mająca pewien wpływ na sprawy kultury i sztuki w Polsce, oświadczyła mi po przeczytaniu „KOMEDII", że „owszem — ale ma zastrzeżenia: mianowicie „sztuka jest trochę ponura"...

Nie mam bynajmniej zamiaru porównywać siebie z wielkimi dramatopisarzami, ale cóż w takim razie zrobić z Hamletem, z Otellem, z Jegorem Bułyczewem? Co zrobić z tuzinem doskonałych sztuk klasycznych, w których przed zapadnięciem kurtyny dziesiątki trupów zaścielają scenę? Zresztą... czy wszystkie teatry powinny grać tylko słomkowe kapelusiki i owdowiałe Jadzie? W repertuarze należy znaleźć miejsce nawet na debiuty zaczynające się „ponuro"...

Jeszcze jedno: byłem bardziej zaskoczony, niż przerażony tą opinią. Ponurość „Komedii" polega na tym, że w tekście kilkakrotnie podkreślone są okrucieństwa niemieckich faszystów. (Jeżeli napiszę sztukę o Kolumbie, to, rzecz jasna, że nie wspomnę w niej o faszystach, ani o... zakonie krzyżowym!).

Dziś, kiedy byli hitlerowcy odżegnywują się od popełnionych zbrodni, kiedy ich amerykańscy opiekunowie wybielają na wyścigi faszyzm, kiedy podważa się otwarcie słuszność wyroków wydanych przez Międzynarodowy Trybunał w Norymberdze, kiedy Francuz Maurycy Bardèche wydaje w 1948 roku książkę, w której twierdzi, że gwałty hitlerowskie nie są udowodnione, i że Polakom i Żydom, którzy byli w obozie, nie należy wierzyć, kiedy my sami zapominamy o przeżytych cierpieniach — obowiązkiem człowieka piszącego jest przypomnieć o tym co było, utrwalić ten czas w sztuce i w pamięci narodu.

✤

Tym bardziej zależało mi na poruszeniu tych tematów, ponieważ w sztuce starałem się o przełamanie pewnych kompleksów literatury poobozowej, po prostu w kilku zdaniach umieszczonych w odpowiednim kontekście i w „sprzyjającej" sytuacji — chciałem uczynić wyłom w tzw. „sprawie Borowskiego". **Nie znaczy to jednak, ażebym — w myśl życzenia owej niewymienionej osoby — znał receptę na pogodne traktowanie tematów okupacyjnych.**

✤

Trudno w tym zestawieniu ogólniejszych i marginesowych uwag, związanych z prapremierą „KOMEDII" na scenie Państwowego Teatru Śląskiego w Katowicach, wyłuszczać szerzej i lepiej teoretycznie podbudowany „program". W każdym razie napisać na temat dramatu i teatru współczesnego można bez porównania więcej, niż ja to napisałem i niż umiałbym napisać. Odnosi się to również do obecnej sytuacji w naszych teatrach.

✤

Tekst sztuki poprzedziłem takimi zdaniami:

„Postaci dramatu nie spotkałem nigdy, wszystkie osoby są zmyślone, znam je tylko z tekstu sztuki. Sądzę jednak, że gdzieś istnieją i że są zupełnie prawdopodobne. Szukanie w którejś postaci autora nie doprowadzi do niczego.

Sztukę napisałem na przełomie 1947 i 1948 roku, pamiętając o tym, co powiedział Conrad: „Celem sztuki jest wymierzenie najwyższej sprawiedliwości światu widzialnemu".

Znalezienie tytułu nastręczało tak duże trudności, że musiałem poprzestać na ironicznej nazwie „KOMEDIA".

Andrzej Wydrzyński

Lekarstwo

(Dokończenie ze strony piątej)

zywała wyciągnięta ręka kobiety. Grób sprawiał przykre wrażenie, był zaniedbany i w wielu miejscach spod nędznej roślinności wyzierała żółta ziemia. Gdy jednak przyjrzała mu się dokładniej niespodziewanie dostrzegła na jego wierzchołku kępkę biało - czerwonych kwiatów.

Wzrok obu kobiet był od lat słaby, ale teraz widok biało -czerwonych kwiatów przywrócił mu dawną ostrość. Kwiatów było niewiele i wyglądały świeżo choć nie okazałe. Hua Tama rzuciła okiem na grób syna oraz na inne groby, ale tylko gdzieniegdzie zobaczyła nikłe kwiatki białe i niebieskie, jedyne jakie nie ulękły się zimna. Poczuła nagle pustkę w głowie, nie chciała o niczym myśleć.

Stara kobieta przybliżyła się do grobu, obejrzała go dokładnie, i zaczęła mówić do siebie:

— One nie mają korzeni, nie mogły same wyrosnąć... Ale któż tu mógł być? Dzieci tu nie przychodzą się bawić... z rodziny na pewno nikt nie był... skąd one się wzięły?

Myślała dłuższą chwilę. Nagle wybuchnęła płaczem i zawołała:

— Syneczku, skrzywdzono cię, ale ty nie zapomniałeś! Czy cierpisz bardzo i czy dziś właśnie postanowiłeś dać mi znak, abym o tym wiedziała? — Rozejrzała się dokoła. Tylko jedna wrona siedziała opodal na bezlistnym drzewie. — Ja wiedziałam... Synku zgubiono się podstępem, ale oni za to poniosą karę. Niebo wie wszystko. Leż spokojnie... A jeżeli naprawdę jesteś tutaj, i słuchasz moich słów, to każ tej wronie przelecieć na twój grób i usiąść na nim...

Wietrzyk ustał i sucha trawa stała nieruchomo, przypominając swym wyglądem miedziane druty. Zafalował jakiś cichy metaliczny dźwięk, rozpłynął się, i zapanowała martwa cisza. Obie kobiety stały wpatrując się we wronę, która ze schowaną głową tkwiła nieruchomo na gałęzi jak odlana z żelaza.

Upłynęło sporo czasu. Ludzi odwiedzających groby przybywało coraz więcej. Starzy i młodzi, przychodzili i odchodzili. Hua Tama zdawało się, że pozbyła się jakiegoś ciężaru, choć nie rozumiała dlaczego. Pomyślała, że trzeba wracać, i powiedziała do kobiety: „Chodźmy".

Tamta z westchnieniem zebrała naczynia, zwlekała i wahała się jeszcze chwilę, i wreszcie zaczęła powoli iść, mówiąc do siebie: „Co to mogło być?" Nie uszły kilkudziesięciu kroków, gdy nagle usłyszały za sobą ostry krzyk „Kraa". Obejrzały się gwałtownie. Wrona rozwinęła skrzydła, poderwała się, i swym ciężkim, prostym lotem skierowała się ku odległemu horyzontowi.

Lu-Sün

Powyższe opowiadanie Lu Suna, (Lu Hsuna), którego nowelę „Prawdziwa opowieść o A Kwei" czytelnicy „Odrodzenia" znają z nr. 1 (213), uchodzi za jeden z najlepszych utworów tego pisarza. Rzecz dzieje się w ostatnich latach panowania dynastii mandżurskiej, na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku, na co wskazuje wzmianka w końcu części trzeciej „Cesarstwo należy do nas wszystkich".

Przesąd, że świeża krew ludzka jest doskonałym lekarstwem na wszystkie choroby, należy do bardzo rozpowszechnionych w Chinach. W związku z tym kat posiadał przywilej sprzedawania odciętej głowy skazańca. Czarna koszula i czarny pas, wspomniane na początku trzeciej części, były strojem kata. Po obaleniu cesarstwa ścinanie jako sposób wykonywania wyroków śmierci zostało, przynajmniej częściowo, zastąpione przez rozstrzeliwanie.

BAZYLI

(Dokończenie ze strony piątej)

TERAZ, gdy patrzę na ręce Bazylego, wydają mi się mniej ruchliwe niż dawniej. Bazyli jest w ogóle cały powolniejszy. Ubyło mu pewnie nieco siły. Jest zawsze jeszcze cenionym handlowcem, zajmuje dobre stanowisko w pewnym, prywatnym przedsiębiorstwie transportowym, w którym spotkał wielu dawnych znajomych i gdzie, jak sądzę, znalazł i nowych przyjaciół, gdyż przechodząc pod oknami kawiarni, widuję go często w towarzystwie dawnych ziemian i byłych wojskowych, ludzi, którzy nigdy nie tracą nadziei, że przy wieczornej partyjce uda im się odegrać wczorajsze straty. Może tylko Bazyli jest mniej wytworny niż dawniej. Och, przesadziłbym, gdybym powiedział, że nie jest wytworny! To są tylko jakieś drobiazgi, niedopatrzenia.

Widujemy się rzadko. Kiedyś wspominając nasze spotkanie w sklepiku wiejskim, Bazyli wyznał, że miał tego dnia pecha. Bo gdyby się rozstał ze mną o pół godziny wcześniej lub później nie byłby zapewne musiał tłumaczyć się swemu dyrektorowi i pokazywać asygnatę kasy partyzanckiej, którą mu wręczyli koło ciemnego mostku jacyś dwaj ludzie, świecąc latarką i połyskując rewolwerami — wzamian za zawartość teczki. Ich barbarzyńska uprzejmość, wyjaśnienia, jakich mu udzielili, wręczając kwit: — „ażebym nie wątpił na jakie cele dokonuje się tej grabieży. Brr" — krzywi się Bazyli.

— Bazyli, należało ci się to — mówię poważnie.

— Wiesz, że gdybym cię nie znał, to mógłbym cię posądzić, że to ty nasłałeś na mnie tych gentlemanów.

— Naprawdę?

— No nie, gdybym cię nie znał — powtarza Bazyli

— Grasz jeszcze? — zagaduję go.

Wtedy Bazyli jest gotów opowiedzieć zaraz jedną z ostatnich partii, jedną z tych, w których go zawsze podziwiałem: gdy miażdży przeciwnika kartą i bluffem, odwagą i niespodzianką.

Kornel Filipowicz

TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY

PSYCHOLOGIA

Bronisław Biegeleisen - Żelazowski. Co to jest psychologia pracy. Kraków, „Wiedza — Zawód — Kultura", 1949; str. 54 i 6 nl.

Biblioteka Dzieł Pedagogicznych.

E. Markinówna. Psychologia indywidualna Adlera. Wydanie III. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1948, str 159 i 1 nl.

HISTORIA

Stefan Inglot. Historia społeczna i gospodarcza średniowiecza. Wydanie drugie rozszerzone. Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1949; str. 384.

Prace Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Rzeszowie. Nr. 2. Rzeszowskie w dobie Wiosny Ludów. Praca zbiorowa. Rzeszów, Wojewódzki Komitet Obchodu 100-lecia Wiosny Ludów, 1948; str. 95 i 1 nl.

Gall Anonim. Kronika Podobizna fotograficzna rękopisu Zamoyskich z wieku XIV. Wydał i wstępem opatrzył **Julian Krzyżanowski.** Warszawa, Towarzystwo Naukowe Warszawskie, 1948; str. 27 i 1 nl i LXIX tablic i 1 knl.

LITERATURA

Karol Czapek. Księga apokryfów Przełożyła **Helena Gruszczyńska-Dubowa.** Okładkę projektował **Jan Wroniecki.** Poznań, Wydawnictwo Zachodnie, 1948; str. 147 i 5 nl.

Biblioteka Romansów i Powieści. 25 i 26. **Wacław Gąsiorowski (Wiesław Sclavus).** Nihiliści. Część I i II. Warszawa, „Czytelnik", 1949; cz. I str. 63 i 1 nl., cz. II str. 63 i 1 nl.

Teodor Tomasz Jeż. W zaraniu. Powieść. Warszawa, „Czytelnik", 1948; str. 375 i 1 nl.

Biblioteka Narodowa. Seria I. Nr. 129. **Franciszek Dionizy Kniaźnin.** Wybór poezji. Opracował **Wacław Borowy. Wrocław,** Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1948; str. 189 i 3 nl.

Wybór pisarzy ludowych. Opracował **Stanisław Pigoń.** Część II. Poeci i gawędziarze. Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1948; str. 320.

Stefan Żeromski — Uroda życia. Powieść. Pisma T. XIV. S. 393, zł. 420.

Bohater powieści — młody Polak wychowany na carskiego oficera — wychodzi zwycięsko z rozterki duchowej wywołanej konfliktem uczuć osobistych i narodowych. Tragedia miłosna nie łamie go, lecz skierowuje na drogę twórczej pracy badawczej dla dobra kraju.

Język tej powieści ukazuje nam mistrzostwo Żeromskiego — malarza najbardziej nieuchwytnych odcieni ludzkich uczuć.

Michał Szołochow — Cichy Don. Tłum. W. Rogowicz, A. Stawar. Tom. I (3 cz.), zł. 720. Tom II (2 cz.), zł. 810, Tom III, zł. 750. Tom IV (2 cz.), zł. 720.

Światowej sławy powieść, w której dramatyczne losy bohatera, kozaka Grigorija Melechowa, ilustrują trudną drogę narodzin nowej rzeczywistości społecznej nad Donem. Szeroki, barwny i pełen obiektywizmu obraz kozaczyzny w okresie zaciętej wojny domowej zdobył autorowi zaszczytny tytuł największego epika obecnej doby.

KSIĄŻKI DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Deotyma (Jadwiga Łuszczewska). Panienka z okienka. Starodawny romansik. Wydanie nowe, ilustrowane. Wstęp i komentarze opracował **Jan Dąbrowa.** Warszawa, „Chłopski Świat", 1948; str. 304.

Kazimierz Kieniewicz. Psy wielkiego Wau. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1948; str. 126 i 2 nl.

Janina Porazińska. Dziewięć placzek nieboraczek. Wydanie drugie. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1948; str. 30 i 2 nl.

Marjorie Kinan Rawlings. Roczniak. Przekład **Adama Galisa.** Wydanie drugie. Warszawa, „Książka", 1948; str. 60.

Kazimierz Rosinkiewicz (Rojan). Hultaj. Powieść dla młodzieży. Warszawa, „Chłopski Świat", 1948; str. 247 i 5 nl.

M. Suszyńska, J. Wójcicka. Największy skarb. Baśnie i opowiadania. Warszawa, „Chłopski Świat", 1948; str. 60.

Anna Świrszczyńska. Arkona, gród Świętowita. Z dziejów słowiańskiej Rugii, czyli Rany. Powieść dla starszej młodzieży. Warszawa, „Książka", 1948; str. 232 i 2 nl.

Wanda Żółkiewska. Pluton Wacka hutnika. Powieść dla młodzieży. Warszawa „Książka", 1948; str. 287 i 5 nl.

Kazimiera Dębska. Kwiaty matki. Ilustrowała **Zofia Fijałkowska.** Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1948; str. 202 i 6 nl.

Maria Kownacka. Kukuryku na ręczniku. Wydanie II. Ilustrowała Franciszka Themerson. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1946; str. 63 i 1 nl.

Maria Kownacka i Zofia Malicka. Leszczynowa górka. Ilustrowała **Zofia Ożerska.** Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1948; str. 61 i 3 nl.

Romana Lubodziecka. Okno w zieleni. 47 rysunków w tekście wykonała autorka. Okładkę projektował **Bogdan Bocianowski.** Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1947; str. 80.

Kino ▾ FILM ▾ Kino ▾ FILM ▾ Kino ▾

LEON BUKOWIECKI

Drogi poprawy krytyki filmowej

Fakt, że filmy produkcji polskiej są nagradzane na festiwalach filmowych, że zdobywają powodzenie na ekranach zagranicznych świadczy, że kinematografia polska weszła na nowe tory. W związku z tym wyłania się problem krytyki filmowej, która jak dotąd — nawet w pismach fachowych — pozostawia wiele do życzenia.

Zamieszczając artykuł Leona Bukowieckiego redakcja „Odrodzenia" pragnie zainicjować dyskusję nad sposobami podniesienia poziomu krytyki filmowej.

I

Krytyka teatralna w Polsce cieszy się dużym powodzeniem i ma dobre tradycje. Inaczej przedstawia się sprawa krytyki filmowej.

Przedwojenna prasa polska nie miała dobrej krytyki filmowej. Tygodniki drukowały z reguły płatne ogłoszenia i artykuliki reklamowe („Światowid"), zajmowały się wszystkim innym tylko nie filmem (tygodnik „Kino" w drugiej fazie swego istnienia), dzienniki przeważnie nie posiadały ani działu recenzji, ani stałych, niezależnych od polityki wytwórni recenzentów. Były w tej dziedzinie nieliczne wyjątki (Toeplitz), stanowczo zbyt nieliczne, aby mogły wpłynąć na opinię publiczną. Istniały wprawdzie mniej rozpowszechnione i mniej popularne pisma filmowe („Wiadomości Filmowe", „Film", „Srebrny Ekran"), w których pisywali polscy filmolodzy i dziennikarze fachowi (Toeplitz, Lewicki, Cękalski, Bossak i inni), ale pisma te nie docierały do szerszych warstw społeczeństwa.

Dzisiaj sytuacja zmieniła się na korzyść. Prawie wszystkie poważne dzienniki mają stałych recenzentów nie ukrywających się pod pseudonimami, a więc odpowiedzialnych za swe słowa. Istnieje co prawda tylko jedno pismo fachowe („Gazeta Filmowa"), ale za to — szczególnie w ostatnich numerach — odznacza się ono wysokim poziomem dobieranych materiałów. Najważniejsze jest to, że eksploatacja filmów znajduje się w rękach państwa, że przedsiębiorstwo państwowe wychodząc ze słusznych wychowawczych założeń nie wywiera presji na dziennikarzy, pozwalając na swobodne wypowiedzi nawet tym recenzentom, którzy są pracownikami przedsiębiorstwa.

Ten cenny obiektywizm byłby w warunkach kapitalistycznych nie do pomyślenia. Postawienie zagadnienia recenzji filmowej byłoby więc z góry skazane na niepowodzenie.

Jest więc l e p i e j, ale daleko jeszcze do tego, aby było dobrze. Niniejszy artykuł ma za zadanie wykazać powody braków polskiej krytyki filmowej oraz poddać dyskusji pewne środki zaradcze.

II

Wobec tego, że nieliczni fachowi krytycy zadowalają się w swej pracy przeważnie artykułami ogólnikowymi czy reportażem z jakiegoś festiwalu, odpowiedzialność za szerzenie kultury filmowej w Polsce i za wykształcenie widza kinowego spada na młodsze pokolenie krytyków, nie zawsze do tego należycie przygotowanych. Bardzo mały procent dzisiejszych krytyków interesował się filmem przed wojną czytał prasę filmową lub zapoznawał się z zagranicznymi opracowaniami z dziedziny filmologii. Mylenie nazwisk scenarzystów, reżyserów, aktorów kraju produkcji filmu itd. nie jest w tym wypadku sprawą zasadniczą. Sprawą zasadniczą jest brak podbudowy historycznej, społecznej i filmologicznej osądów młodych recenzentów. Z tych bowiem niedomogów rodzą się wszystkie pomyłki i fałszywe opinie.

Po wojnie, prasa demokratycznej Polski starała się jak najszybciej stanąć na nogi i objąć wszystkie dziedziny życia kulturalnego. To słuszne stanowisko spowodowało niebywały wzrost popytu na recenzentów filmowych, rekrutowanych często spośród (zapewne dobrych) sprawozdawców miejskich, sportowych, czy sądowych.

Chodząc do kina przy sposobności i pisząc recenzje od przypadku do przypadku możemy tylko działać na szkodę kultury filmowej. Poważny krytyk teatralny ogląda przedstawienie dwa i więcej razy, pozwalając sobie na jednokrotne obejrzenie tylko wtedy, gdy sztukę zna, gdy chodzi już tylko o ocenę danej inscenizacji i gry danego zespołu.

Nawet fachowiec z wieloletnią praktyką nie może uniknąć przejęcia się akcją dobrej sztuki czy dobrego filmu. Przeciwnie, nieczułość wobec problemów przedstawianych w teatrze czy filmie dyskwalifikuje recenzenta.

Dlatego też pisanie recenzji pod bezpośrednim wrażeniem, po jednorazowym obejrzeniu filmu jest niebezpieczne, prowadzi do nieporozumień.

Owocem takiego niezrozumienia obowiązków uczciwej recenzji są sprawozdania o „Obywatelu Kane", zamieszczone w większości pism warszawskich. Recenzenci wyrażali na ogół zdziwienie, że film ten uzyskał światową sławę. Świetną odpowiedzią była tu analiza „Biuletynu Instytutu Wyższych Nauk Filmowych" w Paryżu, przedrukowana w „Gazecie Filmowej". Nie należy przez to rozumieć, że wymieniona uczelnia musi mieć ostatnie słowo w dziedzinie krytyki filmowej. Jest jednak jasne, że skoro walory społeczne i dramatyczne tego filmu oceniają pozytywnie: Sadoul, Manvell, Bourgeois, Auriol i inni spośród najwybitniejszych krytyków filmowych świata — warszawski recenzent przynajmniej powinien o tym wiedzieć.

III

Jakież są drogi poprawy. Wydawać się może, że sprawa należytego dokształcenia i stałej opieki nad piszącymi może być zbyt kosztowna i nie dać pozytywnych wyników.

Tak jednak nie jest.

W dziedzinie programacji zrobiliśmy olbrzymi krok naprzód. Zamiast bezmyślnie kupowanych filmów w okresie przedwojennym, obecnie wybiera się na nasze ekrany — gdy tylko jest możliwe — filmy realistyczne społecznie, postępowe, wychowawcze. Moment rozrywkowy brany jest — rzecz jasna — również pod uwagę, moment kasowy natomiast wcale.

Jednakże najbardziej nawet trafny dobór filmów nie uformuje jeszcze gustów publiczności, karmionej amerykańską sztampą i co gorsza — filmem niemiecko-hitlerowskim, jeśli fachowi, wykształceni dziennikarze nie będą tu pomocni. Nie można bezmyślnie w formie komplemenciarstwa (o czym pisał L. Kaltenbergh) wychwalać zdecydowanie słabych filmów, albo potępiać rzadkie i powstające w trudnych warunkach postępowe filmy z Zachodu tylko dlatego, że nikt recenzentowi nie wyjaśnił, iż są to filmy... postępowe.

Równie nieznośne, chociaż mniej ważne pomyłki widzimy stale w ocenie technicznej, artystycznej i formalnej filmów. Podkreślić trzeba, że tego rodzaju nieporozumienia w większości wypadków nie są winą piszących. Powstają one znów wskutek zupełnego braku zajęcia się początkującymi przeważnie siłami recenzenckimi.

IV

Pierwszy postulat, który musi być wykonany, to powstanie zrzeszenia czy rady recenzentów filmowych. Klub Sprawozdawców Filmowych (powstał na początku ubiegłego roku) nie spełnia swych zadań kształcących. Wielu rzekomych członków Klubu nie interesuje się nie tylko (bardzo rzadkimi) zebraniami i prelekcjami, ale nawet... pokazami filmów (!). Wielu nie ma w ogóle nic wspólnego z filmem. Inni wreszcie obejrzawszy raz film na pokazie uważają się za uprawnionych do napisania recenzji. Wielu proszonych na powtórny pokaz tego samego filmu (z napisami polskimi — pierwszy odbywa się w wersji oryginalnej) wychodzi z sali, bo „już ten film widzieli". Pierwszym obowiązkiem recenzentów filmowych jest właśnie oglądanie filmów i to na własnej sali projekcyjnej, prowadzonej przez gospodarza Klubu. W wielu krajach, dzięki klubom filmowym, zagadnienie kształcenia krytyków dawno już jest rozwiązane.

Gospodarz Klubu, rozumiejący potrzeby dzisiejszej recenzji filmowej, miałby następujące, odpowiedzialne zadania:

a) organizacja biblioteki klubowej, względnie systemu wypożyczania dzieł filmowych z biblioteki „Instytutu Filmowego";

b) abonament i prowadzenie wypożyczalni zagranicznej prasy filmowej;

c) organizacja wykładów i pogadanek;

d) dokonanie spisu wszystkich filmów znajdujących się w Polsce według specjalnego klucza: 1) filmy w eksploatacji, 2) filmy nie eksploatowane, 3) filmy historyczne (archiwalne);

e) stworzenie programu wyświetlania tych filmów zgodnego z powyższym kluczem. Ilość wyświetlanych filmów nie powinna być mniejsza niż 4—5 tygodniowo. W tym dwa filmy aktualne, przeznaczone do rozpowszechniania, jeden film z przysłanych do Polski na pokazy specjalne, jeden film (względnie serię krótkometrażowych) archiwalny;

f) utrzymywanie stałych kontaktów z kino-klubami zagranicznymi;

g) dostarczanie recenzentom scenariuszy filmów ukazujących się na ekranach lub dzieł, na podstawie których filmy opracowano;

h) wreszcie gospodarz winien zbierać prace filmowe swych kolegów w celu przekazania ich do oceny pod koniec roku wybranemu spośród fachowców jury.

Na żądanie pewnej (zależnej od statutu) grupy członków należałoby urządzać pokazy specjalne z wybranych dziedzin kinematografii, według posiadanego spisu filmów.

Istnienie klubu filmowego bez sali projekcyjnej i bez najmniejszego choćby lokalu przy tej sali jest bezcelowe.

Drugim postulatem jest przyznawanie członkostwa klubowego wyłącznie tym literatom, dziennikarzom, plastykom i muzykom, którzy wykazali swe zainteresowanie dla tej dziedziny twórczości.

V

Recenzent musi znać zagadnienia społeczne, literackie i teatralne, gdyż wywierają one wpływ na film, i na odwrót film oddziaływuje na nie. Recenzent musi umieć ocenić film historyczny w związku z epoką, film społeczny w związku ze środowiskiem, w którym powstał i które odtwarza, w związku z tendencją, którą reprezentuje, film zrealizowany na podstawie powieści czy sztuki — w zestawieniu z pierwowzorem.

Dla wszystkich winno stać się jasne, że ocena filmu „Dzwonnik z Notre Dame" bez znajomości (i to świeżej) książki Wiktora Hugo musi zaprowadzić recenzenta na manowce. Może być przejęty maską Charlesa Laughtona i pod tą hipnozą pominąć fałsze historyczne i amerykański styl rzekomo średniowiecznych wydarzeń. A jeśli nawet o tym napisze, to zdawkowo, bez pogłębienia tematu, w rezultacie szkodliwie i nieprzekonywająco.

Jeśli nawet pierwowzory nie zawsze są dostępne, pozostaje zaznajomienie się ze zdaniem krytyków filmowych. Tak jak krytyk teatralny pisząc o „Hamlecie" pozna przedtem literaturę przedmiotu, tak recenzent musi znać kilka opracowań historii kinematografii, kilka dzieł specjalnych, poświęconych temu czy innemu okresowi. Brak sali, brak lokalu, brak literatury, brak wykładów zniechęca recenzenta. Zdarza się, że na film, który ma wyjść na ekrany w niedzielę, zaprasza się recenzentów w piątek i po jednorazowym pokazie skłania się do napisania recenzji. Żaden uczciwy recenzent nie powinien podjąć się tego zadania, gdyż może być pewien, że ocena nie będzie trafna. Jednorazowo obejrzeć można tylko zdecydowane szmiry („Belita", „Rywal jego Królewskiej Mości"), gdyż o tych filmach nie warto pisać.

Zdarza się też, że z powodów technicznych niektóre powszechnie na całym świecie znane filmy („Rzym, miasto otwarte") ukazują się u nas z opóźnieniem. Dziennikarz filmowy powinien jednak taki film obejrzeć natychmiast po przybyciu taśmy, a to dlatego, że film (jak w cytowanym wypadku) może być początkiem nowego stylu i oglądany po wielu innych nie da dziennikarzowi sposobności do trafnej oceny. Rossellini stworzył włoski realizm filmowy. Trudno zaznajamiać się z Rosselinim po Verganie i de Santisie.

VI

Postulaty tego artykułu nie wyczerpują jeszcze zagadnienia. Trzeba by proponowany program uzupełnić przede wszystkim częstą wymianą naszych dziennikarzy filmowych z dziennikarzami zagranicznymi. Byli u nas dziennikarze radzieccy, czescy, francuscy i angielscy, dowiedzieli się niejednego i wrócili do swych krajów z bardzo cennym materiałem. Niewątpliwie równie cenne doświadczenia wynieśliby nasi recenzenci filmowi z wyjazdów za granicę. Niestety od ośmiu miesięcy nie może dojść do skutku nawet wycieczka wymienna do Czechosłowacji.

Sprawa rzeczowej krytyki filmowej jest zagadnieniem wciąż jeszcze otwartym, a żywa dyskusja doprowadzi niewątpliwie do zdrowych wyników.

Leon Bukowiecki

W poprzednim 9 (222) numerze „Odrodzenia": **Bolesław Woytowicz:** Droga wskazana przez Fryderyka Chopina. — **Eugenia Krassowska:** Czterolecie rozwoju nauki polskiej — **Roman Pollak:** O pomnik Mickiewicza. — **Samuel Fiszman:** Uroczystości Mickiewiczowskie w Moskwie. — **Stefania Podhorska-Okołów:** Gribojedow i dekabryści.— **Heinz Rein** (przełożył **Zbigniew Stolarek**): Finale Berlin. — **Stanisław Jerzy Lec:** Rozmowa z Różą Thälmann. — **Bert Brecht** (przełożył **Stanisław Jerzy Lec**). A co dostała żołnierza żona? — **Józef Słotwiński:** Sabotaż: humoreska obozowa. — **Baro:** Oleodruk. — Film: **Jerzy Płażewski:** Z prehistorii filmu poetyckiego: O siedmiu rysunkach piórkiem. — **Stanisław Grzelecki:** Skarb: Pierwsza powojenna komedia. — **Georges Sadoul:** Obecne trudności kinematografii francuskiej. — **Marek Wierczyński:** Wiem, bom to czytał w uczonym Tostacie. — **Kazimierz Andrzej Jaworski:** O satyrze. — **Len:** Konkurs na plakat chopinowski. — Korespondencja: **Władysław Błachut:** „O dobrej służbie i o służących". — Kronika teatralna. — Camera obscura. — 31 ilustracji. — 8 stron.

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 2000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura".** Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem: Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 16**, dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć**, najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 2000 zł.**, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę zł 2000 w ubiegłym tygodniu otrzymał ob. Zbigniew Wasilewski, Warszawa, Uniwersytecka 5 m. 101, za „Piosenkę zdradzonego męża".

Nieudała próba

Zagadnienie dobrych tekstów do piosenek i pieśni, nie zostało niestety dotąd rozwiązane. Wyłoniono wprawdzie z licznych konkursów kilka utworów tego rodzaju, ale i te nieliczne nowe piosenki nie osiągnęły oczekiwanej popularności. Wciąż jeszcze wysłuchujemy z estrad i przez radio rozmaitych wariantów „Pozdrowienia od gór", harmonizujących wprawdzie doskonale z głosami plugawych tenorków, ale rażących już coraz bardziej uszy słuchaczy. Nie sądźmy przeto zbyt surowo „Piosenki zdradzonego męża", wybranej przez nas ze zbiorku Jana Ostacha, który robi co może, by własnymi tekstami i własnym nakładem wypełnić tę dotkliwą lukę w naszej literaturze:

PIOSENKA ZDRADZONEGO MĘŻA

Kto w życiu nie kochał, ten nie ma pojęcia
I nie zna cierpienia zazdrości
Kiedy się zobaczy w innego objęciach
Kobietę przedmiot miłości.

Ja obecnie jestem w ogromnej katuszy
Przeżywam piekło na tej ziemi
Zazdrość jak trucizna wsącza do mej duszy
Bo żona się kocha z innymi.

Ach już się nie wrócą te trzy lata szczęścia
Co z żoną przeżyłem jak we śnie
Gdy zimna mogiła zabrała mi teścia
Me szczęście runęło tak wcześnie.

Bo matka mej żony, to czart w ludzkim ciele
I wkrótce swą córkę przemienia
Buntuje, przysięga złożona w kościele
To dla niej już nie ma znaczenia.

A córka jak głupie i naiwne dziecię
Słuchała swej matki w radości
Bo matka jej mówi, byłam żoną przecie
Jednak się bawiłam w młodości.
I stacza się nisko w poziom ulicznicy
Rozkoszą się grzeszną napawa
Wnet się dowiedziała, że w wiosce Pysznicy
Ma wkrótce się odbyć zabawa.

I bez pozwolenia na nią się udaje
Bo tak ją matka nauczyła
Ja patrzę w milczeniu, serce mi się kraje
Bo męża godnością wzgardziła.

Gdy późno wróciła z uśmiechem cynicznym
I wchodzi do domu z hałasem
Ja wtenczas się stałem trochę energicznym
I uderzyłem ją pasem.

Lecz cóż to się dzieje, wpadają obrońcy
Aż sześciu ich było z laskami
Myślałem, że życie moje już się skończy
Bo to kochankowie jej sami.

I całą noc strasznie się na mnie znęcali
Tak, że aż przytomność straciłem
Mym słowom przysięgi wiary nie dawali
Że ja ją dopiero pierwszy raz uderzyłem.

Choć mieszkam z nią nadal, lecz serce mam inne
Zranione strzałami zazdrości
Trzymają mnie w domu serduszka dziecinne
Naiwne i pełne miłości.

Ach matko wyrodna ty nie masz pojęcia,
Jakieś mi trucizny dała
Ja dawniej twą córkę pieściłem w objęciach
A tyś nam to szczęście złamała.

Nie śmiejcie się, bądźcie sprawiedliwi. Jan Ostach jest w pewnym sensie śmiałym nowatorem. Wprowadza do piosenki treści ludzkie, ukazuje w pełnej grozie postać matki-stręczycielki i co najważniejsze, niemal rewolucyjne — Jan Ostach ma odwagę bronić rogacza!

Adaś Mickiewicz i Saszka Puszkin

W artykule, zamieszczonym w „Ekspressie Wieczornym", Karolina Beylin nazywa trzykrotnie Fryderyka Chopina „małym Chopinkiem". Między innymi, gdy Chopin ma już 20 lat:

„Podążmy jeszcze wraz z Chopinkiem na ostatnie jego warszawskie mieszkanie... tu spędził ostatnie trzylecie od 1827 do 1830".

W związku z powyższym nasuwa się aktualne pytanie: Jak zdrobni Karolina Beylin nazwisko Słowackiego?

Dr W. R. i papuga

Dziwnym zaprawdę, językiem pisze dr W. R. w „Głosie — oczywiście — Wielkopolskim".

KUBA — MOJA PAPUGA

Ciekawy to ptak — jej ojczyzna: to Afryka — naturalnie lasy. Pięknie ubrała ją natura i dyskretnie, bo cała szara, a ogon tylko czerwony. Piszą, że papuga gada — ja twierdzę, że mówi. Kto tam — tu Kuba! — nie chcę jej zlekceważyć, że mówi i językiem niemieckim, bo tym winno się nie mówić. Gdy ją nabyłem — to sam jako długoletni obserwator zwierząt, wprost nie wierzyłem —że papugi przestraszyć mogą — bo dosłownie mówią i gadają — zupełnie, jak człowiek. Moja Kuba — a tu w noc krzyczy „panowie poczekajcie". No trudno, wyobrażałem sobie, że ktoś jest u mnie: przestraszyłem się, a to tylko papuga...

Tanganika i zachodnie wybrzeże Senegambii — to jest kraj. Nocą zjawiają się w setkach okazów, by na najwyższych konarach drzew nocować, gadać i gwarzyć. Jest to ptak w ogólności powolny. Chodząc na ziemi, kołysze się jak kaczka.

Ptaki te przynoszą na rynek w dużej ilości Murzyni. Są to papugi, bardzo miłe i pojętne — lecz nie wszystkie uczą się mówić równo — jedne gwiżdżą, drugie naśladują przeróżne głosy zwierząt. Cudownie potrafią piać jak kogut. Gwizdać potrafi oberka i walca i to cudownie. To jest papuga — Kuba.

(Dr W. R.)

Zabawne to, gdy papuga naśladuje mowę człowieka, ale bywa także odwrotnie...

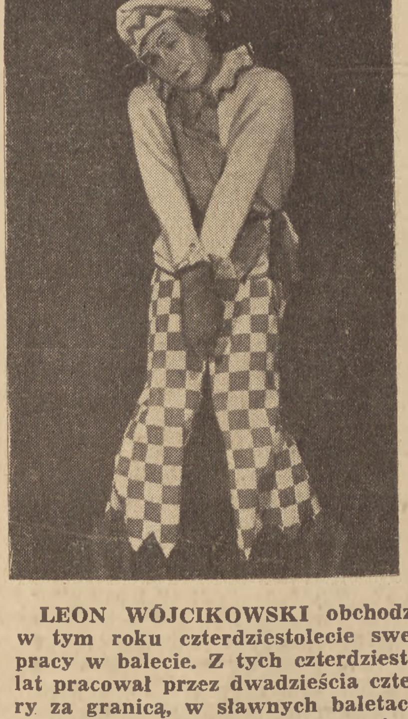
KRONIKA TEATRALNA



Warszawskie „SZCZĘŚCIE FRANIA" przekroczyło już liczbę stu dwudziestu pięciu przedstawień. Miejskie Teatry Dramatyczne grają komedię Perzyńskiego nie tylko w swych budynkach teatralnych w śródmieściu i na Pradze, ale dają swe przedstawienia także na peryferiach miasta po świetlicach i małych salkach przed publicznością robotniczą — inicjatywa godna naśladowania! Na zdjęciu Mieczysław Borowy (Franio) i Zbigniew Koczanowicz (Otocki, równocześnie reżyser sztuki).



JADWIGA ZAKLICKA, odtwórczyni roli Joanny w sztuce Bernarda Shawa, Beatryczy w „Wiele hałasu o nic" Szekspira i Antygony w tragedii Sofoklesa (najlepsza jej kreacja po wojnie, zrywająca zupełnie z dotychczasową „bohaterską" manierą grania tej roli), dała ostatnio kilkanaście występów w warszawskim Teatrze Klasycznym. Niestety nie ujrzeliśmy Zaklickiej w żadnej z jej wielkich ról, lecz tylko w „Szklance wody", sztuce co prawda napisanej z niebywałą rutyną teatralną.



LEON WÓJCIKOWSKI obchodzi w tym roku czterdziestolecie swej pracy w balecie. Z tych czterdziestu lat pracował przez dwadzieścia cztery za granicą, w sławnych baletach rosyjskich Dagilewa, Pawłowej i Basyla, a także jeżdżąc po Europie i Ameryce na czele polskiego Baletu Reprezentacyjnego (1937 — 1939). — Na zdjęciu Wójcikowski w partii tytułowej baletu „Petruszka" (muzyka Strawińskiego, choreografia Fokina). Po raz pierwszy wystawiono „Petruszkę" w roku 1911 z Polakiem Niżyńskim; Wójcikowski objął partię po Niżyńskim w roku 1932. Ci dwaj tancerze polscy byli niedoścignionymi wykonawcami Petruszki.

Redaktor Naczelny: **JERZY BOREJSZA** Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, tel. 80-664 i 40-180 wewn 22 — Redakcja przyjmuje od g. 11 do 13. Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 12, tel. 810-26

Drukarnia nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł — Konto w PKO — I. 4739 B-71516 Wydawca Spółdzielnia Wydawniczo Oświatowa „Czytelnik"